

TOM DRUGI

ROZMOWA, PO KTÓREJ COŚ SIĘ DZIEJE



PROJEKT WYGRYW

Spis treści

Wstęp. Wszystko zrobiłeś dobrze	3
Rozdział 1. Protokół z bardzo miłego spotkania	8
Rozdział 2. Kto stoi, ten się chwieje	19
Rozdział 3. Zdania to jeszcze nie język	31
Rozdział 4. Kto pyta, ten się chowa	43
Rozdział 5. Ciężar próbny	54
Rozdział 6. Luźna struna nie gra	65
Rozdział 7. Jeden pomiar to nie wynik	76
Rozdział 8. Nikt nie wiąże węzła po cichu	88
Rozdział 9. Ogień, którego nikt nie pilnuje sam	99
Epilog. Z pustymi rękami	110
Bibliografia	113

Wstęp. Wszystko zrobiłeś dobrze

Zaprosiłeś ją wprost. Bez trzech dni układania wiadomości w głowie, bez okrężnych podchodów, jednym zdaniem, tak jak się nauczyłeś. Powiedziała, że chętnie. Przyszła, nawet się nie spóźniła. Siedzieliście półtorej godziny przy kawie i rozmowa ani razu nie umarła. Pytałeś, odpowiadała. Opowiadała, słuchałeś. Nie było ciszy, którą trzeba zasypywać w panice, nie było głupich wpadek, nie było niezręczności przy rachunku. Na koniec powiedziała, że było bardzo miło. Nie kłamała.

A potem wracałeś do domu i coś się nie zgadzało. Przewiniąłeś sobie tę rozmowę raz i drugi, szukałeś błędu i nie znalazłeś, bo błędu nie było. Napisała jeszcze wieczorem, że fajnie się gadało. Odpisałeś, że tobie też. I na tym się skończyło, i obaj wiemy, że się skończyło, chociaż formalnie nic się nie zamknęło. Nikt nikogo nie skreślił, nikt nie zniknął. Po prostu żadnemu z was dwojga nie zależało na ciągu dalszym na tyle, żeby się o niego upomnieć.

Jeśli przerobiłeś pierwszy tom, znasz ten wieczór. Może nie z kawiarni. Może z wesela, z aplikacji, z klatki schodowej. Ale znasz ten smak: rozmowa bez jednego błędu, po której nie zostaje nic.

Pisał ktoś na forum lata temu: „Nie mam problemów z podejściami.” Zatrzymaj się przy tym zdaniu. Nikt nie zakłada wątku po to, żeby się pochwalić tym, co już umie. Jak facet zaczyna od tego, z czym nie ma problemu, to znaczy, że ściana stoi piętro wyżej. Umiał zagadać. Spotkania dochodziły do skutku. I gdzieś między pierwszą kawą a drugim spotkaniem wszystko rozlażyło mu się w rękach, cicho, bez żadnej katastrofy, którą dałoby się opisać.

Inny facet z tego samego miejsca zostawił po sobie jedną scenę: „Na do widzenia zapytałem, pewnie nie potrzebne 'nie wiem jak mam się z tobą żegnać', dostałem odpowiedź 'może lepiej normalnie', zatem pożegnałem się jak kolega i poszedłem.”

Przeczytaj to jeszcze raz. Facet stoi z kobietą na końcu spotkania, czuje, że w tym miejscu powinno się coś wydarzyć, i pyta ją o

procedurę. Ona odpowiada zgodnie z prawdą: normalnie. Więc żegna się normalnie, idzie do domu i siada do internetu z pytaniem, co poszło nie tak. Nic nie poszło nie tak. To jest w tej historii najgorsze.

Obaj ci faceci mieli już za sobą kawałek drogi. Nie byli petentami z podaniem, nie stali w kolejce po cudzą decyzję. Umieli powiedzieć, czego chcą. Zabrakło im czegoś innego i o tym czymś jest ten tom: o tym, co się dzieje między dwojgiem ludzi w trakcie rozmowy. Albo się nie dzieje, przy pełnej poprawności obu stron.

Czego tu nie ma

Nie ma tu gotowych tekstów na podryw. Ani jednego zdania do wykucia na pamięć, ani listy pytań na pierwszą randkę, ani trzech odzywek, które podobno zawsze działają. Nie dlatego, że mam coś przeciwko słowom. Dlatego, że dorosła kobieta rozpoznaje recytowanie w trzy sekundy. Nie musi wiedzieć, skąd wzięłeś to zdanie. Słyszysz, że nie jest twoje: rytm nie zgadza się z resztą ciebie, oczy sprawdzają, czy zadziałało, i cała jej uwaga przenosi się z rozmowy na pytanie, po co ten człowiek przy niej gra. Cudze zdanie powiedziane twoim głosem nie brzmi jak ty w lepszej wersji. Brzmi jak ty w przebraniu, a przebranie na dorosłych robi odwrotne wrażenie niż na dzieciach.

Nie ma tu też sposobów na obejście czyjejś decyzji. Żadnych metod na opór, żadnego zmiękczenia nie, żadnej furtki, którą wchodzi się bokiem, kiedy drzwi zostały zamknięte. I to nie jest kwestia grzeczności, tylko treści tej książki: rozmowa, po której coś się dzieje, dzieje się dlatego, że po drugiej stronie jest człowiek, który odpowiada naprawdę. Jak zaczniesz jego odpowiedzi omijać, bo ci przeszkadzają, to nie masz z kim rozmawiać. Zostajesz sam z techniką w pustym pokoju.

Wiem, co kupuje gotowy tekst, bo sam kiedyś tego szukałem: kupuje poczucie, że masz się czego trzymać. Wchodzisz w rozmowę z kartą w rękawie i przez chwilę jest mniej strasznie. Tyle że ta karta ma drugą stronę. Dopóki ją trzymasz, słuchasz jej, nie człowieka

naprzeciwno. Czekasz na moment, żeby jej użyć, zamiast patrzeć, co się właśnie dzieje. Gotowe zdanie nie zdejmuję z ciebie strachu, tylko go przykrywa, a spod przykrycia i tak widać. Ten tom idzie w drugą stronę: mniej rzeczy do pamiętania, więcej rzeczy do zauważania.

Zamiast tego dostaniesz mechanizmy. Czym różni się wymiana informacji od kontaktu. Skąd się między ludźmi bierze napięcie i dlaczego aluzje go nie budują. Jak pytać, żeby otwierać, a nie przesłuchiwać. Co kobieta naprawdę sprawdza, kiedy mówi coś niewygodnego. Jak czytać odpowiedzi, także te bez słów, i po czym poznać moment, w którym trzeba odpuścić. Wszystko do powiedzenia twoimi słowami, bo tylko twoje słowa brzmią jak ty.

Przy świetle

Jedną sprawę stawiam na początku, a nie w przypisie, bo w tym tomie jest rozdział o dotyku i wolę, żebyśmy się umówili przed drogą, a nie w połowie.

Wszystko w tej książce jest jawne. Każdy krok, od pierwszego zaczepnego zdania po rękę, robi się tak, żeby druga strona widziała go w całości i mogła na niego odpowiedzieć. Odpowiedź się czyta i szanuje. Każdą, także tę, która ci się nie podoba. A brak reakcji nie jest zgodą. Człowiek, który zamiera, nie mówi tak. Mówi nie wiem, a nie wiem traktuje się jak nie, dopóki samo nie zamieni się w wyraźne tak.

Piszę to spokojnie, bo to nie jest formułka doklejona do książki ze strachu przed kimkolwiek. To jest opis tego, jak bliskość między dorosłymi w ogóle powstaje. Rzeczy budowane po kryjomu nie trzymają: kobieta, która się zorientuje, że była prowadzona tak, żeby nie zauważyła, wycofa się przy pierwszej okazji i będzie miała rację. A facet, który dostał bliskość na ukrytym ruchu, nigdy nie wie, co właściwie dostał, i musi grać dalej, do końca, bo nie wie, co się stanie, jak przestanie. Jawność niczego ci tutaj nie zabiera. Ona dopiero to wszystko umożliwia. Najdokładniej zobaczysz to w rozdziale ósmym, ale obowiązuje od pierwszej strony.

Jak korzystać z tego tomu

Umowa z pierwszego tomu obowiązuje bez zmian: każdy rozdział kończy się arkuszem 48 godzin i te arkusze są całą robotą. Nie ilustracją, nie zadaniem dla chętnych. Robotą. Rozdział przeczytany bez arkusza zostawia po sobie dokładnie to, co zostawiały wszystkie poradniki przed tą serią, czyli wrażenie. Jeden rozdział, potem jego arkusz, dopiero potem następny. Znasz ten rytm i wiesz już z własnej historii, dlaczego jest taki, a nie inny.

Jest za to jedna różnica i jest poważna. Sporo roboty z pierwszego tomu dało się wykonać w pojedynkę: kalendarz, kartka, własne decyzje, własny tydzień. Materiału z tego tomu nie przećwiczysz w domu. Rozmowa wymaga drugiego człowieka, tak jak pływanie wymaga wody. Możesz przeczytać wszystko o napięciu i nie zbudujesz go przed lustrem, bo lustro nie odpowiada. Dlatego arkusze tego tomu będą cię regularnie wysyłać do ludzi. Prawie nigdy od razu do kobiety, na której ci zależy. Najpierw tam, gdzie stawka jest zerowa: kolega z pracy, pani w piekarni, kelner, siostra, kumpel z siłowni. Mechanizm trenowany przy zerowej stawce jest tym samym mechanizmem, który potem zadziała przy wysokiej.

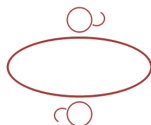
I jeszcze jedno, żebyśmy się nie okłamywali przed startem. Rozmowa jest umiejętnością, a umiejętności mają swój przebieg. Pierwsze próby będą sztuczne. Usłyszysz samego siebie, jak mówisz zdanie zbudowane według któregoś rozdziału, i będzie ci głupio, i przyjdzie ochota, żeby wrócić do starych bezpiecznych pytań, bo one przynajmniej szły płynnie. Ten etap jest normalny i nie da się go przeskoczyć, tak samo jak nikt nie ruszył samochodem gładko za pierwszym razem. Sztuczność nie jest znakiem, że zdradasz siebie. Jest znakiem, że robisz coś dziesiąty raz, a nie tysięczny. Po którymś powtórzeniu nowe przestaje być nowe i wtedy się okazuje, że to nie była maska, tylko mięsień, którego dotąd nie używałeś.

Droga przez tom wygląda tak. Najpierw zobaczysz z bliska, dlaczego rozmowa może być bezbłędna i martwa naraz, i czyj jest ciężar jej poprowadzenia. Potem nauczysz się nią ruszać: trzy stany, między

którymi rozmowa się przesuwa, flirt bez cudzych tekstów, pytania, które otwierają. Dalej chwile, w których ona mówi coś niewygodnego i patrzy, co zrobisz, napięcie grane w otwarte karty zamiast aluzji, czytanie sygnałów razem ze sztuką odpuszczenia w porę, dotyk. A na końcu stół, przy którym siedzi więcej osób niż dwie, bo spora część rozmów, które coś zmieniają, wcale nie zdarza się sam na sam.

Wieczór z początku tego wstępu wróci, bo zapraszać już umiesz i to zostaje. Zmienić się ma to, co dzieje się między zamówieniem a rachunkiem. Do tej pory najlepszą recenzją, jaką słyszałeś po spotkaniu, było „było miło”. Ta książka jest po to, żeby to zdanie zaczęło znaczyć za mało. U niej i u ciebie.

Rozdział 1. Protokół z bardzo miłego spotkania



Sobota, połowa grudnia, kwadrans po piętnastej. Kawiarnia przy placu Wilsona, ta z lampami nisko nad stolikami, bo o tej porze roku na zewnątrz jest już właściwie noc. Marek przyszedł pięć minut przed czasem, zajął stolik pod oknem i nie sprawdza telefonu co trzydzieści sekund. To jest nowe. Pół roku temu sprawdzałby.

Ewa ma trzydzieści jeden lat i tłumaczy na żywo, w kabinie, konferencje medyczne i unijne. Poznali się dziewięć dni wcześniej na czwartkowej ścianie. Ona wspina się od roku, przysłała z koleżanką, Marek zagadał między drogami i pod koniec wieczoru powiedział wprost, że chętnie napiłby się z nią kawy w normalnym świetle, nie w hali. Powiedziała, że czemu nie. Bez gry, bez trzech dni czekania z telefonem. Tego się nauczył i to działa.

Ewa przychodzi punktualnie, otrzepuje czapkę ze śniegu, który jest w połowie deszczem. Zamawiają. I zaczyna się rozmowa.

No i jak ci minął tydzień, pyta Marek.

Intensywnie, mówi Ewa. Trzy dni kabiny, konferencja o wyrobach medycznych. Do czwartku mówiłam do ludzi wyłącznie o stentach.

To musi być wyczerpujące, mówi Marek. A jak długo się siedzi w takiej kabinie bez przerwy?

Pół godziny, potem zmiana. Dwie tłumaczki na kabinę.

A ile języków znasz?

Dwa i pół. Angielski, hiszpański i taki niemiecki do czytania menu.

Wow, hiszpański. A skąd w ogóle jesteś, bo chyba nie z Warszawy?

Z Olsztyna.

I masz tam jeszcze rodzinę?

Rodziców. Siostra wyjechała do Dublina.

Byłaś u niej kiedyś?

Dwa razy.

I jak Irlandia?

Zielono. Deszczowo. Fajnie.

Marek kiwa głową. W głowie, równolegle do rozmowy, biegnie mu drugi proces: szukanie następnego pytania. Bo odpowiedź Ewy właśnie się skończyła, skończyła się kropką, a po kropce jest cisza, a cisza po czterech sekundach zacznie być słyszalna. Więc pyta o pracę siostry, potem o to, czy Ewa lubi Warszawę, potem czy mieszka daleko od ścianki. Ewa odpowiada. Odpowiada grzecznie, składnie, kompletnie. Ani jedna odpowiedź nie ma haczyka na końcu.

Ratunek przychodzi po dwudziestu minutach: wspinaczka. Wspólny temat. Oboje łapią go jak koło ratunkowe i przez następne czterdzieści minut jest wreszcie płynnie. Przechwyty. Buty, bo Ewa kupiła za ciasne i teraz nie wie, czy rozbić, czy oddać. Sokoliki, bo Marek był tam dwa tygodnie temu z paczką i opowiada o drodze, na której odpadł trzy razy. Ewa mówi, że latem chciałyby spróbować w skałach. Marek mówi, że skały to zupełnie co innego niż hala. Ewa mówi, że właśnie tego się boi. Marek mówi, że niepotrzebnie, bo z dobrą asekuracją nic się nie może stać.

I w środku tego wszystkiego zdarza się jedna, jedyna żywa minuta.

Ewa opowiada, jak wyglądały jej pierwsze zajęcia. Weszłam trzy metry, mówi, i zamarłam. Ręce w zaciski, nogi w beton. Wisiałam tak chyba pięć minut, aż instruktor wszedł po mnie i ściągał mnie jak kota z drzewa. Przy ludziach. Serio myślałam, że tam umrę, trzy metry nad materacem.

I śmieje się z tego naprawdę, nosem, nie z uprzejmości. I Marek też się śmieje, i przez pół sekundy ma na końcu języka gotowe zdanie. Głupie, lekkie zdanie: to następnym razem stoję pod ścianą z kartonem i miską mleka, będzie gdzie cię zdejmować. Czuje, że to jest dobre. Czuje, że ona by się roześmiała jeszcze raz, że można by to

ciągnąć, że ona powiedziałaby coś od siebie, a on by się odgryzł.

I gasi to. Bo a nuż to za dużo. A nuż wyjdzie głupio. Zamiast tego pyta: a teraz jak często chodzisz?

Dwa razy w tygodniu, mówi Ewa.

I już. Minuta się kończy. Wracają do przechwytów.

O wpół do szóstej Ewa patrzy na telefon i mówi, że musi lecieć, bo jest umówiona. Dzieli rachunek bez niezręczności. Przy wyjściu ona mówi: było bardzo miło, powtórzymy kiedyś. Marek mówi: jasne, pewnie. Ewa łapie tramwaj na Mickiewicza. Wieczorem przychodzi wiadomość: dzięki za kawę, miło się gadało. Marek odpisuje: mnie też było miło, do zobaczenia na ścianie. I odkłada telefon.

I teraz uwaga, bo to jest najważniejsze zdanie tej sceny: oboje napisali prawdę. Było miło. Nikt nie kłamie, nikt nie zbywa. Ale Marek siedzi nad tym telefonem i czuje coś, czego nie umie nazwać. Rozmowa była poprawna od pierwszej do ostatniej minuty. Nie zaliczył żadnej wpadki, nie było żadnej ciszy dłuższej niż cztery sekundy, żadnego głupiego tekstu. I nic z niej nie zostało. Żadnego głodu. Ani u niej, ani, jeśli ma być szczerzy, u niego.

Nikt nie popełnił błędu i nic się nie wydarzyło

Znasz tę rozmowę. Może nie była przy placu Wilsona. Może to była randka z aplikacji w galerii, może wesele, może kuchnia na imprezie u znajomych. Ale znasz ten przebieg: pytanie, odpowiedź, kiwnięcie głową, następne pytanie. Znasz ten drugi proces w głowie, tę gorączkową podręczną wyszukiwarkę tematów, która pracuje, kiedy ona kończy zdanie. I znasz to uczucie na koniec, którego nie wypada nazwać, bo przecież było sympatycznie: uczucie, że przez dwie godziny nic się między wami nie wydarzyło.

W pierwszym tomie rozebraliśmy faceta, który składał podania o czyjeś uczucia i czekał na rozpatrzenie. Jeśli go przerobiłeś, to już tak nie stoisz. Umiesz zaprosić wprost, umiesz usłyszeć nie, nie wiesz na jednej kobiecie jak na ostatniej desce. Marek z tej sceny to jest właśnie ty po tamtej robocie: spokojny, uczciwy, bez ukrytej faktury. I właśnie

dlatego ta scena boli. Bo pokazuje rzecz, której pewność siebie sama z siebie nie załatwia. Można stać pewnie na własnych nogach i prowadzić rozmowy, po których obie strony wychodzą zadowolone i żadna nie chce więcej.

Nazwijmy więc różnicę, na której stoi cały ten tom.

Raportowanie to przekazywanie informacji między dwiema głowami. Skąd jesteś. Z Olsztyna. Ile języków znasz. Dwa i pół. Fakt idzie od niej do ciebie, potwierdzenie odbioru idzie od ciebie do niej, koniec transmisji, następny pakiet. Tak rozmawia się w okienku urzędu, u lekarza przy wywiadzie i na rozmowie o pracę. To jest uczciwa, potrzebna forma. Tyle że po jej zakończeniu strony wiedzą o sobie więcej i czują dokładnie tyle samo co przed.

Kontakt to coś innego. Kontakt jest wtedy, kiedy między wami dzieje się coś w czasie rzeczywistym. Ona się śmieje nie z żartu, tylko z sytuacji. Przerywa ci, bo jej się przypomniało. Dopytuje sama z siebie, bez twojego pytania. Odgryza się, sprawdza, czy się odgryziesz z powrotem. Tematy skaczą bez żadnej logiki i nikt za tym nie tęskni. Po takiej rozmowie możesz nie pamiętać ani jednego faktu z jej życiorysu i pamiętać dokładnie, jak zmarszczyła nos.

Po czym poznać, w którym trybie właśnie jesteś? Masz trzy czujniki i wszystkie trzy miałeś włączone od zawsze, tylko nie patrzyłeś na wskazania.

Pierwszy: co robi twoja głowa, kiedy ona mówi. Jeśli układa następne pytanie, jesteś w raporcie. W kontakcie głowa nie ma na to czasu, bo słucha i coś jej się od tego rodzi.

Drugi: jak kończą się jej odpowiedzi. W raporcie kropką i ciszą, którą ty musisz zasypać. W kontakcie jej odpowiedzi mają na końcu haczyk: pytanie zwrotne, zaczepkę, jakieś a u ciebie, jakieś celowe przecięcie, które zaprasza cię do gry.

Trzeci, najprostszy: co zostaje po rozmowie. Jeśli umiałbyś z pamięci wypełnić jej ankietę osobową, a nie umiesz przypomnieć sobie ani jednego momentu, w którym coś między wami zaiskrzyło, to był raport. Bardzo miły raport.

I jeszcze jedno, zanim pójdziemy dalej, bo to zdejmuję z ciebie część winy i dokłada ci całą odpowiedzialność. W materiałach, na których oparta jest ta część książki, wraca uparcie jedna teza: ciężar poprowadzenia tej rozmowy leży po twojej stronie i nie ma co dyskutować o sprawiedliwości tego układu. Ona rzuca płaskie tematy, pogodę, pracę, korki, nie dlatego, że chce o nich rozmawiać. To jest bieg jałowy silnika, uprzejme podtrzymywanie, żeby nie zgasło. Jeśli podejmujesz te tematy z powagą i drażysz je pytaniami, robisz dokładnie to, co dziewięciu facetów przed tobą. A potem oboje uczciwie mówicie, że było miło. Miło to jest temperatura pokojowa. Nikomu nie jest zimno. Nikt nie chce więcej.

Została jeszcze pułapka wspólnego tematu, bo Marek wpadł w nią z rozpędu i pewnie znasz ją z autopsji. Te czterdzieści minut o wspinaczce wyglądało jak najlepsza część spotkania. Płynęło, nie trzeba było szukać pytań. Tylko zobacz, co tak naprawdę zostało udowodnione przez te czterdzieści minut: że poza wspinaczką nie macie sobie nic do powiedzenia. Wspólne hobby to nie jest fundament, na którym ona wyobraża sobie was dwoje. Do rozmowy o przechwytach ona ma ściankę i pół hali ludzi. W facecie szuka czegoś innego: kogoś, z kim rozmowa o niczym jest dobra. Z kim można w niedzielę rano gadać głupoty bez tematu i to się samo niesie. Wspólny temat jest jak koło ratunkowe: trzymasz się go, bo toniesz. Ale nikt nie planuje wspólnego życia z kołem ratunkowym.

Nie masz o czym rozmawiać. Serio?

Tu zwykle pada wymówka i pada tak często, że trzeba się nią zająć osobno. Brzmi: nie mam o czym rozmawiać. Jestem nudny, mam nudną pracę, nie miałem ciekawego życia, nie mam tematów.

Pisał ktoś na forum lata temu: „Nie wiem dlaczego, po prostu nie wiem czemu nie umiem z nimi rozmawiać, może dlatego, że pamiętają mnie, że kiedyś byłem gorszy?” I ktoś inny, na tym samym forum: „Nie potrafię wprowadzić tej świetnej zabawy.” Dwóch facetów, ta sama ściana. I obaj stawiają diagnozę, która brzmi logicznie i jest

nieprawdziwa: że im czegoś brakuje. Tematów, anegdot, materiału.

Nieprawdziwa, bo tematów nie brakuje nikomu. Siedziałeś kiedyś z kumplem przy jednym piwie cztery godziny i nie zauważyłeś, kiedy zleciało. O czym gadaliście? Nie pamiętasz. O niczym. O wszystkim. Materiału starczyło, bo z kumplem nie trzymasz się parteru.

Bo każdy temat, dosłownie każdy, ma trzy piętra.

Parter to fakty. Ile języków znasz, skąd jesteś, jak długo, ile razy. Na parterze jest bezpiecznie, bo faktów nikt nie podważy. Za odpowiedź z Olsztyna nie można oberwać.

Pierwsze piętro to zdania. Co o tym myślisz, co lubisz, co cię wkurza, co byś wybrał. Tu już wieje, bo zdanie można mieć głupie, zdanie może się jej nie spodobać, ze zdaniem można się nie zgodzić.

Drugie piętro to wy dwoje. Co czujesz, czego się wstydzisz, co cię rozbawiło w niej pięć minut temu, co się właśnie dzieje przy tym stoliku. Tu wieje najmocniej i tu, wyłącznie tu, powstaje to, co ona nazwie potem, opowiadając koleżance, że coś między nami było.

I teraz cała prawda o twoim braku tematów: ty nie masz pustego budynku. Ty masz budynek z zaryglowanym parterem i mówisz, że wyżej nic nie ma, bo nigdy nie wszedłeś po schodach. Przy każdym temacie zostajesz na powierzchni, bo powierzchnia jest bezpieczna. Nie da się jej ocenić. Nie da się na niej wyjść na dziwaka, napaleńca, ignoranta. Ale nie da się też na niej nikogo spotkać. Zauważ, że nawet pogoda, najbardziej wyśmiany temat świata, ma piętra. Na parterze pogoda brzmi: ale leje. Na pierwszym piętrze brzmi: ten grudzień wygląda jak listopad, który się nie skończył, i ja od tygodnia biorę to osobiście. Pierwsza wersja jest wymianą komunikatów. Druga jest początkiem rozmowy, bo jest w niej człowiek, z którym można się zgodzić, nie zgodzić albo z niego zażartować.

Jest i drugie dno tej wymówki, mniej wygodne. Pisał ktoś na forum: „Od zawsze czułem się dobrze z kobietami, mam wiele koleżanek, myślę, że potrafię z nimi rozmawiać i czuje się z nimi dobrze.” I dalej opisywał, że mimo to nic z tych znajomości nie wynika. No właśnie. Bo z koleżankami też rozmawia się głównie raportem i do koleżeństwa to

w zupełności wystarcza. Umieć rozmawiać i umieć zrobić z rozmowy coś, co się dzieje między dwojgiem ludzi, to są dwie różne umiejętności. Pierwszą masz. Nad drugą pracujemy przez najbliższe osiem rozdziałów.

Co konkretnie robi rozmowa żywa

Skoro wiemy, czym różni się raport od kontaktu, zejdźmy na poziom konkretnego: co innego robi facet, po którego rozmowie ona pisze do koleżanki, niż facet, po którego rozmowie pisze miło się gadało.

Po pierwsze: strzela zamiast pytać. Zamiast czym się zajmujesz, mówi: założę się, że robisz coś, gdzie trzeba gadać cały dzień. Zamiast skąd jesteś: ty mi wyglądasz na dziewczynę z mniejszego miasta, która uciekła do Warszawy pierwszym pociągami po maturze. Strzał robi trzy rzeczy, których pytanie nie zrobi nigdy. Daje jej coś do złapania, bo można się zgodzić, zaprzeczyć, obrazić na niby. Mówi coś o tobie, bo strzał wymaga zdania, a pytanie tylko ciekawości. I zdejmuję z niej reflektor przesłuchania, bo ona nie musi wymyślać odpowiedzi, tylko reaguje. A pudło? Pudło jest lepsze niż trafienie. Jak trafisz, ona mówi: skąd wiedziałeś. Jak spudłujesz, ona mówi: no coś ty, w ogóle nie, i już ci opowiada, jak jest naprawdę, i już się dzieje.

Po drugie: dokłada od siebie. Rozmowa Marka z Ewą była tenisem serwisów: on serwuje pytanie, ona odbija odpowiedź, piłka martwa, nowy serwis. Rozmowa żywa działa inaczej: na każdą rzecz, którą ona daje, ty odkładasz coś swojego. Ona mówi, że siostra w Dublinie. Raport pyta: często się widujecie. Kontakt mówi: moja siostra przez rok groziła, że wyjedzie do Norwegii, po czym przeprowadziła się dwie ulice od rodziców, u was która wersja. To nie jest wielka sztuka. To jest zwykła zasada: nie zadajesz drugiego pytania z rzędu, dopóki nie położysz na stole czegoś od siebie.

Po trzecie: ma zdanie i mówi je lekko. Kiedy ona chwali film, który cię wynudził, raport przytakuje, bo przytaknięcie jest bezpieczne. Tylko że przytaknięcie zamyka temat: zgoda, kropka, cisza, szukamy nowego. Lekka niezgoda temat otwiera, bo daje wam obojgu coś do

roboty: no nie, przecież ten film to dwie godziny patrzenia, jak ludzie smutno milczą w ładnych wnętrzach, przekonaj mnie. To nie jest kłótnia. To jest zaproszenie do przeciągania liny, a przeciąganie liny to jest właśnie to, co się dzieje między dwojgiem ludzi.

Po czwarte: mierzy reakcje, nie płynność. Facet w raporcie ocenia rozmowę po tym, czy nie było ciszy. Facet w kontakcie patrzy na co innego: czy ona się śmieje, czy mówi serio?, czy dopytuje sama z siebie, czy się odgryza. To są wskazania licznika. Jeśli przez kwadrans licznik stoi na zerze, to nie znaczy, że trzeba zmienić temat. Znaczy, że trzeba zmienić sposób: z pytań na strzały, z parteru na piętro, z potakiwania na zaczepkę.

I po piąte: mówi rzeczy, które ma na końcu języka. Wróć do tej jednej żywej minuty w kawiarni. Ona nie wzięła się z tematu, wspinaczka była wałkowana od pół godziny. Wzięła się z tego, że Ewa zeszła na drugie piętro: powiedziała o sobie coś śmiesznego i trochę wstydliwego, o strachu, o wiszeniu, o ludziach, którzy patrzyli. I Marek miał w ręce odpowiedź z tego samego piętra, karton i miskę mleka, i schował ją do kieszeni, bo a nuż za dużo. Zapamiętaj z tej sceny jedno: rozmowy nie umierają od złych tekstów. Rozmowy umierają od dobrych tekstów połkniętych w połowie drogi. To zdanie, które gasisz, bo jest zbyt zaczepne, zbyt głupie, zbyt osobiste, to jest prawie zawsze dokładnie to zdanie, na które ona czeka.

Narzędzia

Trzy rzeczy na jutro i jedna na każdy wieczór. Żadna nie wymaga kobiety, na której ci zależy. Wszystkie trenuje się na ludziach, których spotykasz i tak: kolega z pracy, pani z piekarni, kumpel z siłowni, siostra.

1. Trzy strzały. Jutro w trzech rozmowach zamień pytanie na strzał. Zamiast co u ciebie: wyglądasz mi na człowieka, który ma za sobą ciężki poniedziałek. Zamiast jak weekend: założę się, że cały przeleżałeś. Stawka ma być zerowa, rozmowa ma być zwykła. Nie chodzi o trafianie. Chodzi o to, żeby twój język przestawił się z trybu

ankietera na tryb człowieka, który coś twierdzi. Licz trafienia i pudła, zobaczysz, że pudła dają lepsze rozmowy.

2. Dorzutka. Przez jeden dzień obowiązuje cię zasada: żadnego drugiego pytania z rzędu. Zanim o coś dopytasz, kładziesz na stół jedno zdanie od siebie: swoją wersję, swoją historię, swoje zdanie. Ktoś mówi, że wraca z urlopu, ty nie pytasz od razu gdzie było najładniej, tylko mówisz, że ty na urlopie po trzech dniach zaczynasz sprzątać skrzynkę mailową i nienawidzisz się za to. Potem możesz pytać dalej.

3. Jedna lekka niezgoda. Raz dziennie, przy gustach, nie przy wartościach. Ktoś chwali serial, knajpę, telefon, a ty masz inne zdanie i mówisz je z uśmiechem, bez wykładu, jednym zdaniem. Cel ćwiczenia nie jest towarzyski, tylko wewnętrzny: masz poczuć, że niezgoda nie kończy rozmowy. Ona ją zaczyna.

4. Wieczorny licznik połkniętych zdań. Codziennie przed snem jedna liczba: ile razy dziś miałeś coś na końcu języka, zaczepkę, żart, zdanie o sobie, i zgasileś to na rzecz bezpiecznego pytania albo milczenia. Bez rozprawki, sama liczba. Ta liczba to jest twój prawdziwy stan wyjściowy, dokładniejszy niż wszystko, co o sobie myślisz.

Arkusz 48 godzin

Dwa dni, kartka, długopis. Zapisane albo się nie wydarzyło, znasz już tę zasadę.

Dzień pierwszy. Po pierwszej dłuższej rozmowie dnia, obojętnie z kim, robisz z pamięci protokół: ile zadałeś pytań, ile powiedziałeś strzałów i dorzutek, ile razy się z czymś nie zgodziłeś. Trzy liczby. U większości facetów po pierwszym tomie wychodzi coś koło dziesięć, zero, zero i to jest w porządku, od tego się zaczyna. W ciągu dnia oddajesz trzy strzały z narzędzia pierwszego. Wieczorem licznik połkniętych zdań.

Dzień drugi. Jedna rozmowa prowadzona celowo w nowym trybie. Nie musi być z kobietą, ma być z człowiekiem. Cel: dwie

reakcje. Śmiech, serio?, samoistne dopytanie, odgryzienie się, cokolwiek, co nie jest uprzejmym kiwaniem głową. Środki: strzały, dorzutki, jedno zdanie z drugiego piętra, czyli coś o sobie, co jest odrobinę mniej bezpieczne, niż byś domyślnie powiedział. Wieczorem zapisujesz słowo w słowo zdanie, które wywołało najsilniejszą reakcję, i licznik połkniętych, i porównujesz z wczorajszym.

Arkusze jest zaliczony, kiedy na kartce są liczby z obu dni i jedno zapisane zdanie. Jeśli któregoś dnia nie wyszło, jeśli strzał utknął ci w gardło i wyszło zwykłe pytanie, zapisujesz to samo uczucie. Notatka o tym, co połknąłeś, jest dla tej roboty warta tyle samo co notatka o tym, co powiedziałeś, bo pokazuje, gdzie dokładnie stoi twój rygiel od parteru.

Czwartek, hala

Tydzień po tamtej kawie Marek wchodzi na ściankę i Ewa jest przy ścianie z przewieszeniem, kończy drogę. Schodzi, otrzepuje ręce z magnezji. Idzie w jego stronę, bo wypada się przywitać.

No i jak tam, mówi. Byłeś w końcu na tej swojej fioletowej?

I Marek czuje znajomy odruch: odpowiedzieć rzeczowo, spytać o jej tydzień, o stenty, o buty, które miała oddać. Cały raport ustawia mu się w kolejce, grzeczny i gotowy.

Byłem, mówi. Odpadłem dwa razy. Ale przyniosłem ci coś.

Ewa unosi brwi.

Karton i miskę mleka, mówi Marek. Stoją w szatni. Tak na wszelki wypadek, gdybyś znowu utknęła na trzech metrach, będzie cię na co ściągać.

Sekunda ciszy. A potem Ewa parska śmiechem, uderza go otwartą dłońią w ramię i mówi, że jest palantem, i że to było raz, i że w ogóle to ona widziała w zeszły czwartek, jak on wisiał na tej fioletowej jak reklamówka na płocie, więc może sam sobie weźmie tę miskę. I Marek się odgryza, i ona się odgryza, i ktoś z paczki woła, że asekuracja czeka, i Ewa odchodzi do ściany tyłem, jeszcze coś dopowiadając.

Cała ta wymiana trwa może cztery minuty. Wydarzyło się w niej więcej niż przez dwie godziny nad wystygłą kawą przy placu Wilsona. Marek zakłada uprząż i łapie się na tym, że pierwszy raz od bardzo dawna nie układał w głowie następnego pytania. Nie było kiedy.

Dwie godziny później, w szatni, Ewa mija go z torbą na ramieniu, zatrzymuje się w drzwiach i mówi: w sobotę idziemy z ludźmi na łyżwy na Agrykołę, umiesz w ogóle jeździć?

Słabo, mówi Marek.

To będzie na co patrzeć, mówi Ewa i wychodzi.

Marek zostaje z butami w ręce. Kawa była poprawna i nie wynikło z niej nic. Cztery minuty przekomarzania i jedna miska mleka załatwiły więcej niż osiemdziesiąt starannych pytań. Ta proporcja nie jest przypadkiem i nie jest magią. Jest do wyćwiczenia, a trening zaczyna się jutro rano, od pierwszego strzału do pierwszego napotkanego człowieka.

Rozdział 2. Kto stoi, ten się chwieje



Sobota, koniec grudnia, lodowisko na Agrykoli. Minus dwa, pod lampami paruje oddech, z głośników leci składanka, która ma zadowolić wszystkich, więc nie zadowala nikogo. Marek stoi w wypożyczonych łyżwach przy bandzie i trzyma się jej tak, jak się trzyma poręczy w szpitalnym korytarzu.

Ekipa ze ścianki już krąży po tafli. Ewa jeździ tak, jak jeździ ktoś, kto miał w dzieciństwie zamrożony staw za domem: bez stylu i bez strachu. Marek widzi ją co czterdzieści sekund, kiedy przelatuje obok, za każdym razem odrobinę bliżej bandy i odrobinę szerzej uśmiechnięta.

Obok Marka przejeżdża dzieciak, może ośmioletni, w kasku i w ochraniaczach o numer za dużych. Jedzie krzywo, macha rękami, wygląda, jakby za chwilę miał się złożyć jak leżak. Nie składa się. Objeżdża taflę trzeci raz. A Marek stoi prosto, nieruchomo, przepisowo, i właśnie dlatego się chwieje.

Bo na łyżwach najtrudniejsza jest jedna rzecz i wcale nie jest nią jazda. Najtrudniej jest stać. Dwa wąskie ostrza, a na nich cały człowiek, który próbuje zastygnąć. Każdy, kto kiedykolwiek jeździł, zna to od środka: równowaga nie bierze się z zastygnięcia. Bierze się z ruchu. Z ciężaru, który przechodzi z nogi na nogę, cały czas, okrążenie za okrążeniem. Dzieciak w kasku nie zna fizyki, ale wie to nogami.

Zapamiętaj tego dzieciaka. Będzie nam potrzebny do końca rozdziału.

Ewa hamuje pół metra przed Markiem, celowo za blisko, tak że śnieg spod ostrzy sypie mu się na buty.

No proszę, mówi. Myślałam, że słabo to była skromność.

To jest słabo w wersji optymistycznej, mówi Marek.

Puść bandę.

Nie mogę. Banda i ja jesteśmy już na poważnym etapie. Nie zostawię jej dla pierwszej lepszej.

To chociaż przejedź z nami kawałek. Przedstawię cię ludziom, zanim przymarzniesz.

Ludzie mogą podjechać tu. Powiedz im, że prowadzę przy bandzie punkt konsultacyjny. Przyjmuję do ósmej.

Ewa łapie go za rękaw i odkleja od bandy jak naklejkę. Marek przejeżdża kilkanaście metrów, w tym pięć ładnych, resztę na zgiętych kolanach, z rękami jak do lądowania. Wyprzedza go dzieciak w kasku.

On ma osiem lat, mówi Marek, i niższy środek ciężkości. To nie są równe zawody.

Jasne, mówi Ewa. A na ścianie co cię wyprzedziło, wiewiórka?

I tak przez pół godziny. Ona go podpuszcza, on się odgryza, raz na jakiś czas łapie ją za ramię, bo lód robi się pod nim samodzielny. Nic z tej rozmowy nie zostanie na piśmie i nic z niej nie wynika, i właśnie po tym poznaje się, że jest dobra. Pół roku temu Marek połykałby te teksty jeden po drugim. Teraz je mówi. Tego nauczył się w poprzednim rozdziale i to działa.

Potem na taflę wyjeżdża rolba i wszystkich spędzają z lodu. Ekipa ze ścianki idzie po grzaniec, Marek przynosi dwie herbaty w papierowych kubkach i stają z Ewą przy barierce, patrząc, jak maszyna zamienia pocięty lód w szybę.

W podstawówce pojechaliśmy całą klasą na łyżwy, mówi Marek. Szósta klasa, Torwar. Powiedziałem, że mam zwichniętą kostkę, i przez dwie godziny pilnowałem kurtek. Kostka była zdrowa. Zwichnięte było co innego, tylko wtedy jeszcze nie umiałem tego nazwać.

Ewa nie śmieje się. Obraca kubek w dłoniach.

Mnie uczył tata, mówi. Na stawie pod Olsztynem. Trzymał mnie za kaptur jak kota i powtarzał: nie patrz pod nogi, patrz, gdzie jedziesz. Do dziś jak stoję na lodzie, słyszę go. A jak do niego dzwonię, rozmawiamy trzy minuty. On pyta, czy auto pali, ja pytam, czy kolano boli. I koniec tematów. Głupie to, nie?

Nie, mówi Marek. Wcale nie.

I przez chwilę oboje patrzą na rolbę, i cisza między nimi nie jest dziurą, którą trzeba zasypać. Jest po prostu cisza.

Potem coś w tej rozmowie zwalnia samo z siebie. Ewa odwraca się do niego, opiera łokieć o barierkę. Marek mówi ciszej niż przez cały wieczór: Dobrze, że mnie tu wyciągnęłaś. Sekunda przerwy. I dobrze mi się na ciebie patrzy, jak jeździsz.

Ewa wytrzymuje jego spojrzenie dłużej, niż wypada między kolegami ze ścianki. To patrz, mówi w końcu. Odpycha się od barierki i wjeżdża pierwsza na świeżo wylany lód, nie oglądając się za siebie.

A Marek zostaje przy barierce z dwoma pustymi kubkami i z czymś, czego nie umie nazwać, ale co jest dokładnym przeciwieństwem tamtej poprawnej kawy przy placu Wilsona.

Trzy stany i trzy karykatury

Wróć teraz do tego wieczoru, bo było w nim wszystko, o czym jest ten rozdział. W ciągu dwóch godzin odbyły się trzy zupełnie różne rozmowy, choć rozmówcy się nie zmienili.

Była zabawa. Banda, punkt konsultacyjny, wiewiórka. Rozmowa, która niczego nie załatwia, nie przekazuje żadnych informacji i do niczego nie prowadzi, i właśnie dlatego jest dobra. W zabawie nikt nikogo nie ocenia, bo nie ma czego oceniać: obie strony mówią rzeczy celowo niepoważne i obie o tym wiedzą.

Była bliskość. Kurtki na Torwarze, kaptur, trzy minuty rozmowy z tatą. Zauważ, że żadne z nich nie powiedziało nic wielkiego. Nie było spowiedzi, nie było traumy. Były dwie małe rzeczy z wagą, powiedziane wolniej niż reszta, i cisza, której nikt nie łątał. Bliskość nie polega na ilości wyznań. Polega na tym, że przez moment żadna ze

stron nie gra.

I było napięcie. Kilkanaście słów przy barierce, ściszonych, z pauzą w środku. Nie było w nich nic śmiałego, żadnej aluzji, żadnej deklaracji. A jednak przez chwilę było jasne, że nie stoi tam dwóch kolegów z sekcji, tylko mężczyzna i kobieta, i że on to powiedział wprost, a ona tego nie zgasiła.

Zabawa, bliskość, napięcie. Trzy stany, w których może stać rozmowa. Nie ucz się ich na pamięć jak systemu, bo to nie jest system, tylko coś, co widziałeś tysiąc razy i czego nigdy nie nazwałeś. Ważna jest jedna zasada i tylko ona: w żadnym z tych stanów nie wolno zamieszkać.

Faceta, który zamieszkał w zabawie, znasz z każdego wesela. Sypie tekstami od zupy do oczepin, pół stołu płacze ze śmiechu, jest gwiazdą wieczoru. O pierwszej w nocy dziewczyna, z którą żartował trzy godziny, tańczy wolnego z kimś, kto powiedział jej pięć zdań serio. On zostaje z opinią najzabawniejszego człowieka na sali. Opinia nie ma z kim wracać do domu.

Faceta, który zamieszkał w bliskości, znasz jeszcze lepiej, niewykluczone, że z lustra. Rozmowy do drugiej w nocy, ona opowiada mu wszystko, on słucha, rozumie, nigdy nie ocenia. Zna po imieniu jej szefową, jej byłych i psa jej byłych. Po pół roku ona mówi mu, że jest jej najbliższym człowiekiem, a potem pyta, co sądzi o facecie, którego poznała na szkoleniu.

Faceta, który zamieszkał w napięciu, poznajesz po tym, że przy stoliku robi się duszno. Intensywne spojrzenia od pierwszej minuty, komplement dostawiony do każdego zdania, wszystko ściszone i znaczące. Ona odpowiada coraz krócej, odsuwa krzesło o dwa centymetry, a dwadzieścia minut później przypomina sobie o jutrzejszym wczesnym wstawaniu.

Błazen, powiernik, natręt. Trzy karykatury i żadna nie wzięła się ze złych intencji. Każda wzięła się z zastygnięcia w miejscu, które wydawało się bezpieczne.

Bo to, co ludzie nazywają potem chemią, nie mieszka w żadnym z trzech stanów. Nie ma jej w samych żartach, bo same żarty to kabaret. Nie ma jej w samych zwierzeniach, bo same zwierzenia to koleżeństwo. Nie ma jej w samym napięciu, bo samo napięcie to przesłuchanie. Jeśli już gdzieś jest, to w ruchu między nimi. Ciężar z nogi na nogę. Kto stoi, ten się chwieje.

Wieczór, który był zabawny

Drugi tydzień stycznia, mała knajpa przy placu Inwalidów, kwadrans spacerem od jej mieszkania. Pierwszy raz zupełnie sami: bez ścianki, bez ekipy, bez lodu pod nogami.

I Marek ma formę. Jest lekko od progu: o kelnerze, który przyjmuje zamówienie tonem lekarza przekazującego diagnozę, o tym, że Ewa czyta kartę win jak wyniki badań, o wszystkim. Działa. Ewa się śmieje, odgryza się, dokłada swoje. Marek czuje coś, co zdarzało mu się w życiu rzadko: każda piłka wraca. Po latach rozmów, które trzeba było pchać pod górę, ta jedzie sama.

Gdzieś przy drugim kieliszku Ewa zaczyna o poniedziałku.

Była na konferencji medycznej, mówi. W czterech salach tłumaczyli ludzie, a w dwóch uczestnicy dostali słuchawki z tłumaczeniem maszynowym. Organizator chodził w przerwie i pytał, czy słyszać różnicę. Połowa mówiła, że w sumie niespecjalnie. Ewa kręci kieliszkiem i mówi wolniej: Kaśka, z którą siedzę w kabinie od pięciu lat, zapisała się na kurs zarządzania projektami. A ja czasem myślę, że mój zawód zniknie szybciej, niż zdążę wziąć kredyt.

To zdanie jest powiedziane innym tempem niż wszystkie poprzednie. Jest w nim waga.

A Marek jest w formie. Więc mówi: Świetnie się składa, zawsze chciałem znać bezrobotną tłumaczkę. Będiesz mi symultanicznie tłumaczyć awantury z hiszpańskiego, jakbym kiedyś jakieś miał.

Żart jest niezły. Ewa się uśmiecha, mówi: no, może. Patrzy chwilę w stół, prostuje się i pyta, czy widział wczorajszy filmik ze ścianki. I znowu jest lekko, i lekko już zostaje.

Kwadrans później, w środku zupełnie innego tematu, Ewa wraca. A ty się w ogóle nie boisz, pyta. Przecież tabelki to pierwsza rzecz, którą te modele robią lepiej od nas.

I Marek, któremu wieczór płynie jak nigdy, odbija z pierwszej piłki: Ja się nie boję, ja od dawna podejrzewam, że mam stanowisko dekoracyjne. Jak mnie zwolnią, będzie to znaczyło, że ktoś w końcu sprawdził, co robię.

Ewa się śmieje. Krócej niż godzinę temu, ale się śmieje. Za kwadrans dziesiąta mówi, że jutro kabina od ósmej i że się zbiera. Żegnają się przed knajpą, zwyczajnie, w porządku. O jedenastej przychodzi wiadomość: dzięki, było zabawnie.

I Marek, leżąc na kanapie, czyta to jak medal. Było zabawnie. Przecież dokładnie o to chodziło.

Drugie podanie

W niedzielę wieczorem dzwoni Maciek. Uczy dziś początkujących na krakowskiej ścianie, ale piątkowe wieczory wciąż odrabia za barem, tam gdzie kiedyś zaczynał. Swoją drogę przeszedł wcześniej niż Marek i raz na jakiś czas odbierają sobie nawzajem relację z frontu, bo tak się umówili jeszcze latem i to się trzyma. Marek opowiada wieczór z rozmachem, cytuje swoje najlepsze teksty, z kelnerem lekarzem na czele. Maciek słucha do końca, nie przerywa.

A powiedz mi jedną rzecz, którą ona powiedziała serio, mówi w końcu.

Serio? No, mówiła o pracy. Że testowali na konferencji maszynowe tłumaczenie. Że koleżanka z kabiny się przebrnęła. Że jej zawód może zniknąć.

I co ty na to?

Zażartowałem. Dobrze żartowałem, śmiała się.

A potem?

Potem gadaliśmy o czymś innym. A, i później sama jeszcze do tego wróciła. Pytała, czy ja się nie boję o swoją robotę.

Sama wróciła do tematu?

No.

W słuchawce robi się cicho, tak jak wtedy, kiedy ktoś przekłada telefon do drugiej ręki.

Stary, mówi Maciek. Jak gość przy barze wraca do tematu drugi raz, to on nie gada dla gadania. On sprawdza, czy ktoś słucha. Ona ci to podała dwa razy. Ty jej to dwa razy odbiłeś żartem. I to dobrym, a dobry żart odbija najdalej.

Marek chce coś wtrącić, ale Maciek jeszcze nie skończył.

U mnie w barze siedzi taki jeden w każdy piątek. Najzabawniejszy człowiek, jakiego znam, ludzie się dosiadają, żeby go posłuchać. I w każdy piątek wychodzi sam. Kiedyś specjalnie zwracałem uwagę: cztery godziny, ani jednego zdania serio. Cztery godziny.

Odlóżmy tę słuchawkę i zatrzymajmy się, bo tu łatwo o zły wniosek. Marek nie zrobił nic głupiego. Nie palnął gafy, nie przesadził, nikogo nie uraził. Robił rzecz, którą niedawno wytrenował i która działała, i właśnie dlatego niczego nie zauważył. Na tym polega zastygnięcie: nie boli w trakcie. W trakcie jest wygodnie, bo stoisz na nodze, która trzyma cię najpewniej. Każdy ma taką nogę. Jeden ma żart, bo żartem nie da się odsłonić. Drugi ma powagę, bo w powadze nie da się wyjść na niepoważnego. Trzeci ma intensywność, bo intensywność z daleka wygląda jak odwaga. Twoja najmocniejsza noga to twoja kryjówka. To jest zdanie do zapamiętania z tego rozdziału.

I jeśli czytasz tę scenę z ulgą, że ty akurat nie żartujesz za dużo, to zrób jeszcze jedno okrążenie. Może twoją nogą jest powaga i twoje wieczory wyglądają jak dyżur cierpliwego słuchacza. Może intensywność, i rozmowa robi się gęsta po pięciu minutach, a ty nie rozumiesz dlaczego. Porażka Marka nie polega na żartowaniu. Polega na tym, że przez cały wieczór ani razu nie zmienił nogi i jeszcze był z tego zadowolony.

Zauważ też, po czym Marek oceniał tamten wieczór: po tym, że szło. Płynnie, lekko, bez jednej trudnej minuty. Tylko że szło mi to czujnik twojej wygody, nie ruchu. Wieczór, w którym ani razu nie było ci trudno, to prawie na pewno wieczór przestany w kryjówce.

A Ewa? Ewa nie nadawała żadnych szyfrów. Wszystko było widać gołym okiem, trzeba było tylko wiedzieć, na co patrzeć. Jedno zdanie powiedziane wolniej niż inne. Powrót do tematu, do którego nikt jej nie ciągnął. Śmiech o połowę krótszy. Wyjście przed dziesiątą. I słowo zabawnie w wiadomości, w miejscu, gdzie mogło stać inne. Żadna z tych rzeczy osobno nic nie znaczy i nie próbuj zgadywać, co ona wtedy czuła, bo tego nie wiesz i wiedzieć nie możesz. Ale razem te rzeczy układają się w kierunek. I jedna zasada jest z tego twarda: kiedy człowiek wraca do tematu drugi raz, ten temat jest dla niego ważny. Nie musisz wiedzieć dlaczego. Musisz go podjąć.

Przenoszenie ciężaru

Skoro problemem jest stanie w miejscu, to umiejętnością z tego rozdziału jest przejście. I tu dobra wiadomość: przejście to nie jest żaden manewr. To jest jedno zdanie powiedziane innym tempem.

Z zabawy w bliskość schodzi się prosto. Żart się kończy, ty nie dokładasz następnego, tylko mówisz wolniej jedno zdanie, które jest prawdziwe. Po żarcie o bezrobotnej tłumaczce mogło paść: a tak serio, co ty z tym zrobisz. Sześć słów. Nie trzeba mostów ani zapowiedzi, wystarczy zmiana tempa i tonu. Dokładnie taka sama, jaką słyszysz u kumpla, który po dwóch piwach i pięciu głupotach nagle mówi: słuchaj, bo u mnie w domu się dzieje. Nikt mu wtedy nie przerywa, że przecież było śmiesznie. Wszyscy schodzą razem z nim.

Z bliskości w napięcie idzie się jeszcze wolniej. Przestajesz mówić o świecie i mówisz o tym, co jest przy stoliku. Jedno zdanie o niej albo o was, ściszone, z pauzą przed i po. Dobrze mi się na ciebie patrzy. Lubię, jak o tym opowiadasz. I potem najtrudniejsze: nic. Cisza, którą wytrzymujesz. Co ona z tą ciszą robi, to jest jej ruch, nie twój, i żadna technika tego nie ustawi. Twoje jest tylko to, czy powiedziałeś i czy nie zepsułeś tego natychmiastowym żartem ratunkowym.

Z napięcia w zabawę wraca się jednym lekkim zdaniem i to nie jest odwrót, tylko oddech. Napięcie trzymane za długo robi się przesłuchaniem, tak jak żart trzymany za długo robi się kabaretem, a

powaga trzymana za długo robi się dyżurem w poradni. Żaden stan nie jest lepszy od pozostałych. Każdy psuje się od przetrzymania.

Zostaje pytanie, kiedy przechodzić, i tu wracamy na lód. Nie ma minutnika. Dzieciak w kasku nie przenosi ciężaru według planu, przenosi go wtedy, kiedy noga przestaje nieść. W rozmowie jest tak samo i to widać: śmiech robi się grzecznościowy, odpowiedzi krótsze, ona przestaje dokładać swoje. To nie znaczy, że temat jest zły. To znaczy, że noga przestała nieść. I wtedy nie szukasz nowego tematu, bo temat jest niewinny. Zmieniasz stan, zostając w temacie. O tej samej pracy da się żartować, da się rozmawiać serio i da się powiedzieć ciszej, że lubisz słuchać, jak ona o niej mówi. Temat to nie miejsce. Miejsce to stan.

Narzędzia

Cztery rzeczy do trenowania na ludziach, których i tak spotykasz. Żadna nie wymaga randki.

1. Jedno zejście dziennie. Raz dziennie, w rozmowie, w której jest wesoło, powiedz jedno zdanie serio i nie ratuj go żartem przez następne pięć sekund. Z kumplem, z bratem, z kimś z pracy. Śmiejecie się z czyjejś wtopy na spotkaniu, a ty na koniec mówisz normalnym głosem: swoją drogą dobrze, że powiedział to głośno, ja bym nie umiał. I czekasz. Trenujesz w ten sposób schodzenie z nogi, która trzyma cię najlepiej, a to jest najtrudniejsze przejście ze wszystkich.

2. Rejestr drugich podań. Przez dwa dni zapisuj każdą sytuację, w której ktoś wrócił do tematu drugi raz. Mama znowu wspomina o badaniach. Kumpel trzeci raz zagaduje o swojego szefa. Pierwszego dnia nic z tym nie rób, masz to tylko zauważać, bo do tej pory te powroty przelatwały ci koło ucha. Od drugiego dnia zasada: drugie podanie obsługujesz serio. Jedno pytanie, wolniejsze tempo, zero żartu.

3. Tempo zamiast tematu. Kiedy rozmowa siada, odruch każe ci gorączkowo szukać nowego tematu. Raz dziennie zrób odwrotnie: zostań w temacie, zmień tempo. Zwolnij, zrób pauzę dłuższą, niż

wypada, powiedz coś o tym, co jest tu i teraz. Choćby: dobrze się z tobą milczy. Potem przez minutę tylko patrz, co się dzieje, i nic nie poprawiaj.

4. Trzy kreski po rozmowie. Po każdej dłuższej rozmowie dnia postaw na kartce trzy kreski: ile mniej więcej było żartu, ile serio, ile napięcia. Przy rozmowach z facetami licz dwa pierwsze. Po tygodniu spójrz na kartkę. Zobaczysz swoją kryjówkę czarno na białym. U Marka po tamtym wieczorze wyszłoby dziewięć, jeden, zero.

Arkusz 48 godzin

Dwa dni, kartka, długopis.

Dzień pierwszy. Diagnoza. Po pierwszej dłuższej rozmowie dnia trzy kreski z narzędzia czwartego i jedno słowo obok: która noga jest twoją kryjówką. W ciągu dnia jedno zejście z żartu, z kimkolwiek. Wieczorem zapisz jedno drugie podanie, które dziś dostałeś, i co z nim zrobiłeś. Jeśli żadnego nie zauważyłeś, zapisz, że żadnego nie zauważyłeś. To też jest wynik. Mówi o twoim słuchu, nie o twoim dniu.

Dzień drugi. Jedna rozmowa, w której celowo robisz dwa przejścia: z żartu w serio i z powrotem. Z człowiekiem, niekoniecznie z kobietą. Wieczorem zapisz słowo w słowo zdanie, którym zszedłeś, i to, co było widać po drugiej stronie przez następną minutę: dokończył, urwał, zmienił temat, opowiedział swoje. Jeśli przejście nie wyszło, bo w ostatniej chwili uratowałeś się żartem, zapisz i to. Notatka o nodze, z której nie umiałeś zejść, jest warta więcej niż zaliczone ćwiczenie, bo pokazuje, gdzie naprawdę stoisz.

Arkusz jest zaliczony, kiedy masz kreski z dwóch dni, jedno zapisane podanie i jedno zapisane zdanie przejścia. Samo przemyślenie się nie liczy. Przemyślenia masz za sobą całe lata.

Przystanek

Czwartek, ścianka, potem szatnia, potem przystanek tramwajowy w mokrym śniegu, który nie jest ani deszczem, ani śniegiem i za którego

nikt w tym mieście nie chce wziąć odpowiedzialności. Marek odprowadza Ewę, bo im po drodze. Tak przynajmniej twierdzą oboje.

I gdzieś między ścianką a przystankiem Ewa mówi, że w poniedziałek idzie na spotkanie do firmy, która robi te słuchawki. Że koleżanka ją namówiła, że pójdzie posłuchać, kogo szukają, bo może lepiej być w środku tej zmiany niż pod jej ścianą. Mówi to lekko, o jeden ton za lekko. Trzeci raz wraca do tego tematu.

Marek ma gotowy żart. Naprawdę dobry, o tym, że pójdzie z nią i będzie tłumaczył maszynom z ludzkiego na binarny. Żart stoi na końcu języka i czeka na zgodę.

Marek go połyka. Rozdział temu byłby to błąd. Dziś to jest przeniesienie ciężaru.

Pyta wolniej: A czego się bardziej boisz? Że ten zawód zniknie, czy że zostaniesz i będziesz patrzeć, jak znika?

Ewa patrzy na niego, jakby sprawdzała, czy pytanie jest na serio. Jest. Więc mówi. O kabinie, w której po raz pierwszy usiadła na trzecim roku i miała mokre ręce do samego końca. O tym, że głos to jedyne narzędzie, w które inwestowała od dziesięciu lat. Mówi długo. W połowie nadjeżdża jej tramwaj, ten właściwy. Ewa patrzy na niego przez sekundę i mówi: dokończę, pojadę następnym. I mówi dalej, a Marek dokłada swoje: że u niego w dziale od roku nie zatrudnili żadnego juniora i nikt o tym głośno nie mówi, i że on się boi nie tyle o robotę, ile tego, że poza tabelkami nie umie nic rękami. Robi się ciężko, naprawdę ciężko, więc Marek zdejmuje ten ciężar jednym lekkim zdaniem: że w razie czego otworzą razem punkt konsultacyjny przy bandzie na Agrykoli, przyjęcia do ósmej. Ewa śmieje się i mówi, że banda będzie zazdrosna.

Wsiada do następnego tramwaju. W drzwiach odwraca się: w sobotę znowu łyżwy, przyjdiesz? Drzwi zamykają się, zanim zdąży odpowiedzieć, więc odpowiada esemesem, idąc przez ten niby śnieg w stronę metra.

W sobotę na Agrykoli będzie tak samo jak tydzień wcześniej. Składanka z głośników, para z ust, grzaniec w kolejce, dzieciaki w

kaskach. Któryś znowu będzie jechał krzywo, machał rękami i nie upadał, bo jego ciężar ani na sekundę nie przestanie wędrować z nogi na nogę. Marek dalej będzie jeździł słabo, może już bez bandy, może jeszcze nie. Ale to, co tamten dzieciak robi nogami, Marek zaczyna robić rozmową. Żart, potem jedno zdanie prawdziwe, potem chwila ciszej, potem znowu żart. Okrążenie za okrążeniem. Kto stoi, ten się chwieje. Kto przenosi ciężar, ten jedzie.

Rozdział 3. Zdania to jeszcze nie język



Sobota, koniec stycznia, pierogarnia dwie przecznice od lodowiska. Szyby zaparowane od środka, łyżwy w pokrowcach pod stołami, ekipa ze ścianki zsunęła dwa stoliki i kłóci się o to, czy ruskie z okrasą to jeszcze pierogi, czy już danie główne. Marek siedzi obok Ewy. Po trzech sobotach na lodzie jeździ już bez bandy, co Ewa skomentowała na taflి jednym słowem: rozwód.

Przy barze stoi turysta. Facet koło trzydziestki, kurtka narciarska, plecak, telefon w ręce. Patrzy w ekran i czyta z niego na głos, starannie, sylaba po sylabie: Poproszę pierogi z mięsem i małe piwo. Wychodzi mu to zaskakująco dobrze. Akcent jak z kursu, końcówki na miejscu. Barmanka kiwa głową i odpowiada zwyczajnie, w tempie zwyczajnym: Z mięsem wyszły, są ruskie, ze szpinakiem albo z kaszą i twarogiem, piwo lane czy butelka.

I facet się kończy. Widać dokładnie moment, w którym się kończy. Jeszcze sekundę temu mówił po polsku, teraz stoi z otwartymi ustami i przewija telefon, jakby dalszy ciąg rozmowy miał być na następnym ekranie. Nie ma go tam. Aplikacja dała mu jedno zdanie, wypolerowane do połysku, i zostawiła go z odpowiedzią.

Ewa wstaje, podchodzi, mówi coś do niego po hiszpańsku. Ulga na jego twarzy wygląda jak u człowieka wyciągniętego z przerębla. Dwie minuty później turysta siedzi nad ruskimi, a Ewa wraca do stolika.

Hiszpan, mówi. Trzy dni w Polsce. Nauczył się z aplikacji czterech zdań i mówi je pięknie. Tylko że on nie mówi po polsku. On zna zdania po polsku. To są dwie zupełnie różne rzeczy i cały jego problem polega

na tym, że rozmówki kończą się tam, gdzie zaczyna się rozmowa. Pierwsze zdanie możesz sobie przygotować. Odpowiedzi nikt ci nie przygotowuje.

Zapamiętaj tego Hiszpana. Wróci na końcu rozdziału.

A my na razie zostanemy przy tym, co powiedziała Ewa, bo powiedziała, nie wiedząc o tym, cały ten rozdział w trzech zdaniach. Znać zdania to nie znać języka. W internecie leżą tysiące rozmówek do rozmawiania z kobietami. I tysiące facetów uczy się z nich na pamięć pierwszych zdań, po czym staje z otwartymi ustami dokładnie tam, gdzie tamten facet przy barze: w odpowiedzi.

Środa, zakładki

Rzeczy między Markiem a Ewą stoją w pół kroku. Nie są parą. Nie są już tylko kolegami ze ścianki, po tamtym przystanku tramwajowym to zdanie nie ma pokrycia. Stoją w miejscu, które nie ma nazwy, i to miejsce robi Markowi w tygodniu to, co ekspozycja na ścianie: przyjemnie i strasznie naraz.

A kiedy Markowi jest strasznie, Marek robi to, co robił przez dziesięć lat. Czyta.

W środę wieczorem otwiera stare zakładki. Ma ich dużo, cała piwnica po tamtych latach. Fora, wątki, listy. Pisał ktoś na forum lata temu: „Nie wiem jak dobrze i skutecznie flirtować i jak zachowywać się z nowo poznanymi dziewczynami.” Pisał ktoś inny: „Nie wiem jak z tego wybrnąć, brak mi jakis schematów.” Zatrzymaj się przy tym drugim zdaniu. Brak mi schematów. Facet siedzi naprzeciwko żywego człowieka i diagnozuje u siebie brak gotowych zdań, tak jakby rozmowa była formularzem, do którego zgubił wzór. Na tej diagnozie zbudowano całą branżę. Skoro brakuje ci schematów, to masz, tu jest czterdzieści tekstów, które podobno działają zawsze.

I żeby było jasne, jak to się kończy, trzeci głos z tego samego forum: „Niby taki ze mnie PUA, pętam co się da, a jak przyjdzie co do czego to nie potrafię zrobić najprostszej rzeczy.” PUA, tak w tamtym świecie nazywał się zawodowy podrywacz, mniejsza o skrót. Zeszyt pełen

cudzych kwestii i puste ręce. Dziesięć lat później ten wątek dalej wisi w internecie i dalej ktoś go czyta o pierwszej w nocy.

Marek czyta krócej, bo Marek ma już swoje przejechane. Ale znajduje listę, a na liście dwa zdania, które wyglądają porządnie. Jedno o muzyce, do przekomarzania. Drugie z ksywką, podobno robi napięcie. Powtarza je sobie w czwartek w metrze, między Ratuszem a placem Wilsona, jak słówka przed egzaminem. Raz nawet mówi jedno półgłosem i kobieta w kurtce z kapturem odsuwa się o krok, co powinno być pierwszym ostrzeżeniem, ale nie jest. Zauważ, on nie robi nic dziwnego. Robi to, co robi się z egzaminem, kiedy zależy. Przygotowuje się. Dziesięć lat czytania nauczyło go jednego odruchu: jak coś jest ważne, znajdź materiał i wykuj. Na egzaminach to działa. Cały błąd tego wieczoru mieści się w tym, że rozmowa z człowiekiem nie jest egzaminem, choć bardzo go przypomina, kiedy się boisz.

Tajska na Żoliborzu

Piątek, mała tajska knajpka przy Placu Inwalidów, dwa stoliki od okna. Rozmowa idzie dobrze, zwyczajnie dobrze. Ewa opowiada o poniedziałku, była w końcu w tej firmie od słuchawek. Mówi, że pół spotkania czuła się jak na targach, a pół jak na własnym pogrzebie, bo proponują jej pilnowanie maszyny, która uczy się jej zawodu. Że jeszcze nie wie. Że dobrze płacą i to jest w tym wszystkim najgorsze.

Potem robi się źle. Ewa mówi, że w niedzielę odgruzowała mieszkanie po świętach, całe cztery godziny, i że do sprzątania ma jedną playlistę od dziesięciu lat: włoskie disco z lat osiemdziesiątych, głośno, z pełnym tekstem śpiewanym do mopa.

I Marek widzi wejście. Piłka leci idealnie, dokładnie w miejsce, na które czekał od czwartku. Mówi: Naprawdę tego słuchasz? No to nigdy by nam nie wyszło, ciągle byśmy się kłócili o muzykę.

Zdanie jest z listy, słowo w słowo. I wychodzi z niego o pół taktu za późno i o pół tonu za równo, jak wszystko, co ćwiczyło się w metrze. Ewa unosi brwi. No, możliwe, mówi. Uśmiech jest, ale to jest uśmiech z tej samej półki, co dzięki, było zabawnie. Temat jedzie dalej, jakby

nic nie stanęło na torach. Coś stanęło.

Marek nie odpuszcza, bo ma jeszcze drugi nabój. Przy deserze Ewa opowiada, jak w serwisie narciarskim wmawiali jej, że wiązanie było już pęknięte, i jak rozłożyła pana z serwisu na czynniki pierwsze jedną fakturą sprzed roku. Śmieje się z tego sama. I Marek strzela: Z tobą to są same kłopoty. Powinienem na ciebie mówić Kłopoty.

Sekunda ciszy. Ewa odkłada łyżeczkę.

Wiesz, że ja to zdanie znam, mówi. Nie takie podobne. To samo. Na studiach był taki jeden, mówił tak do każdej dziewczyny na roku, każda była Kłopoty. Podobno gdzieś wyczytał, że działa.

Marek czuje, jak mu robi się gorąco w uszach. A Ewa dodaje ciszej, bez złośliwości, i to jest gorsze niż złośliwość: Przez chwilę brzmiał jak te słuchawki z konferencji. Gramatyka się zgadzała, wszystko się zgadzało. Tylko ciebie tam nie było.

Ona zawodowo słucha ludzi mówiących cudzym tekstem. Osiem godzin dziennie w kabinie, od dziesięciu lat. Poznała recytację po dwóch zdaniach, ale nie myśl, że trzeba do tego tłumaczki. Trzeba kobiety, która ma trzydzieści lat i słyszała ten tekst wcześniej, a słyszała, bo te listy krążą po internecie dłużej, niż ona studiuje mężczyzn. Rozpoznała cytat, bo cytat był w obiegu.

Marek patrzy w talerz. Ma do wyboru trzy uniki i wybiera czwartą rzecz, prawdę.

Przeczytałem to w internecie, mówi. Wczoraj. Bo mi na tym zależy, a jak mi na czymś zależy, to się przygotowuję jak do egzaminu. Zawsze tak miałem. Głupio wyszło.

Ewa patrzy na niego dwie sekundy i widać, jak jej twarz zmienia się z uprzejmej na własną. Jak będziesz chciał następnym razem flirtować, mówi, to powiedz coś swojego. Może być dużo gorsze, byle było twoje. Chwila przerwy. Egzaminu nie zdałeś, ale odwołanie przyjmuję.

Wieczór wraca na tory. Nie za darmo, coś kosztował, ale wraca. I zauważ rzecz, do której jeszcze wrócimy: jedyne zdanie Marka, po którym tego wieczoru było widać, że rozmowa ożyła, to nie było żadne

z dwóch przygotowanych. To było to, którego nie dało się przygotować, bo mówiło o tym, co właśnie się stało przy tym stole.

Dlaczego to zgrzytnęło

Najpierw uprzątnijmy zły wniosek. Zdanie o muzyce nie jest złym zdaniem. Powiedziane przez człowieka, który naprawdę w tej sekundzie usłyszał o włoskim disco i naprawdę się wzdrygnął, mogłoby przejść i nieraz przechodzi. Problem nie siedzi w słowach. Problem siedzi w pochodzeniu. To samo zdanie może być żywe albo martwe i różnica nie jest w treści, tylko w tym, skąd przyszło: z patrzenia czy z kieszeni.

Trzy rzeczy techniczne, po kolei.

Pierwsza: ona to słyszała. Gotowe teksty mają jedną wadę wpisaną w samą ich naturę. Żeby tekst trafił na listę, musiał być używany. Skoro był używany, był słyszany. Dorosła kobieta ma za sobą kilkanaście lat rozmów z facetami, z których część czytała te same fora co ty. Recytujesz jej kwestię, którą zna, i ona nie musi nawet pamiętać skąd. Wystarczy, że coś jej się zgadza za gładko. Tłumaczka poznaje maszynowe tłumaczenie nie po błędach, tylko po tym, że jest zbyt równe. Z rozmową jest tak samo, tyle że tego słuchu nie trzeba się uczyć dziesięć lat w kabinie. Wystarczy sto powtórzeń, a ona ma je za sobą.

Druga: recytacja zabiera ci uszy. Od czwartku Marek nosił w kieszeni dwa zdania i czekał na wejście. A człowiek, który czeka na wejście, nie słucha rozmowy, tylko jej pilnuje, jak sufler z tekstem w ręce pilnuje sceny. Dlatego wyszło o pół taktu za późno. Przygotowane zdanie zawsze wychodzi obok, bo odpowiada na rozmowę, którą wyobraziłeś sobie wczoraj, a nie na tę, która właśnie jest. Ewa opowiadała o playliście do mopa, o czymś swoim i śmiesznym, a dostała odpowiedź wysłaną dwa dni wcześniej z metra.

Trzecia: nadawcę słyhać. Tekst wygłoszony przez spiętego faceta brzmi jak tekst wygłoszony przez spiętego faceta i żadna jakość tekstu tego nie przykryje. Ona nie odbiera słów osobno, odbiera całość:

tempo, ton, to, czy ręce leżą spokojnie. Marek przy bandzie na Agrykoli mówił rzeczy obiektywnie głupsze niż Kłopoty i wszystko grało, bo całość była jego.

I jest czwarta rzecz, większa od tamtych trzech razem. Sam pomyśl, że flirt to zestaw zdań. Nie jest. Flirt to sposób, w jaki jesteś w rozmowie: lekkość, własne zdanie, drobna niezgoda, komentarz zamiast pytania. Punkt konsultacyjny przy bandzie nie był z żadnej listy. Urodził się z bandy, z mrozu i z tego, że Ewa właśnie sypnęła mu śniegiem na buty. Dlatego był flirtem. Kłopoty były cudzą kwestią doniesioną w kieszeni przez pół miasta. Dlatego były recytacją. Marek umie flirtować od dwóch rozdziałów i właśnie przestał na jeden wieczór, dokładnie w momencie, w którym postanowił się tego nauczyć.

I zanim odetchniesz, że ty przecież żadnych list z internetu nie nosisz, sprawdź jedną rzecz. Rozmówki nie muszą być cudze. Masz swoją historię o wakacjach, którą opowiadasz na każdym spotkaniu tak samo, z pauzą w tym samym miejscu i z puentą dopracowaną przez dwadzieścia powtórzeń. Masz swoje trzy sprawdzone anegdoty, swoje dwa pytania na przełamanie ciszy, swój zestaw na start. To też są rozmówki, tylko własnej produkcji, i poznajesz je po dwóch znakach: mówisz je za każdym razem identycznie i w trakcie mówienia nie ciekawi cię odpowiedź, bo już wiesz, co powiesz potem. Publiczność się zmienia, występ ten sam. Kobieta, która siedzi naprzeciwko, nie wie, że to powtórka, ale słyszy to samo, co słyszała Ewa: wszystko się zgadza, tylko ciebie nie ma.

Gramatyka, nie słownik

Skoro nie zdania, to co. Zasady budowy. W języku obcym też nie ratuje cię czterdzieste zdanie z rozmówek, ratuje cię gramatyka, bo z gramatyki złożysz zdanie czterdzieste pierwsze, to, którego nie ma w książce. Cztery zasady.

Zanim padną, jedno ostrzeżenie, na piśmie i wprost: każde przykładowe zdanie poniżej jest ilustracją mechanizmu, niczym

więcej. Przepisane słowo w słowo stanie się rozmówkami i zgrzytnie ci dokładnie tak, jak zgrzytnęło Markowi. Czytasz je po to, żeby zobaczyć konstrukcję, nie po to, żeby je zapamiętać.

Lekkość jako punkt wyjścia. Flirt mówi rzeczy celowo niepoważne o tym, co jest tu i teraz. Nie o świecie, nie o wiadomościach, o tym stole, tej kolejce, tej sytuacji. Wiesz to już z poprzedniego rozdziału, zabawa to jeden ze stanów rozmowy. Tu dochodzi jedno: lekkość bierze materiał z miejsca, w którym stoisz, nie z pamięci. Jak coś jest śmieszne dopiero po przyniesieniu z domu, to nie jest lekkość, to jest występ.

Komentarz zamiast pytania. Pytanie ankietowe przerzuca całą robotę na nią: czym się zajmujesz, skąd jesteś, co lubisz. Spostrzeżenie mówi jej co innego, mówi, że patrzysz. Zamiast pytać, czym się zajmuje, można powiedzieć: wyglądasz jak ktoś, kto w pracy każe ludziom robić rzeczy, których nie chcą, i jeszcze mu dziękują. Spostrzeżenie może być nietrafione i nietrafione też robi robotę, bo widać wtedy, jak człowiek się prostuje, poprawia cię i sam dopowiada resztę. Rozmowa schodzi z ankiety na was dwoje.

Drobna niezgoda. Przytakiwanie do wszystkiego jest uprzejme i płaskie jak stół. Facet, który we wszystkim się zgadza, jest miły i po dwóch godzinach nie zostaje po nim żaden ślad. Powiedz lekko, że masz inaczej, w drobiazgu: że zimowe morze jest lepsze od letniego i umrzesz na tym stanowisku, że jej ulubiony serial ma świetny pierwszy sezon i nie ma drugiego. Niezgoda w drobiazgach, nigdy w rzeczach, które bołą. Na łyżwach ostrze trzyma zakręt tylko dlatego, że ma krawędź. Rozmowa bez żadnej krawędzi to ślizg po prostej, jedzie gładko i nigdzie nie skręca.

Docenienie z odjętą powagą. Powiedz serio jedną rzecz, którą w niej naprawdę widzisz, i zaraz zdejmij patos drobnym docinkiem, zanim zrobi się pomnik. Masz najlepszy słuch do ludzi, jaki znam, i marnujesz go na tłumaczenie prezesów. Pierwsza połowa musi być prawdziwa, bo inaczej całość jest komplementem z windy. Druga połowa pilnuje, żeby nikt tu nikogo nie stawiał na półce.

Wspólny mianownik całej czwórki widzisz sam: materiał bierze się z patrzenia i słuchania, nie z pamięci. I dlatego tego nie da się wykuć. Da się to tylko ćwiczyć, na ludziach, których i tak codziennie mijasz.

I jeszcze dwie rzeczy, które z daleka wyglądają jak flirt, a nim nie są, żebyś ich sobie nie dopisał do tej listy.

Pierwsza to lawina komplementów na starcie. Jesteś śliczna, masz przepiękny uśmiech, niesamowite oczy, wszystko w pierwszym kwadransie. To nie jest flirt, to jest wręczanie komuś faktury z góry, za usługę, o którą nikt nie prosił. Po drugiej stronie widać wtedy zawsze to samo: dziękuję powiedziane coraz krócej i krzesło odsuwane o dwa centymetry. Komplement waży coś dopiero wtedy, kiedy dotyczy rzeczy, którą naprawdę zauważyłeś, a na zauważenie czegoś prawdziwego potrzeba czasu. Na starcie masz do dyspozycji tylko wygląd, więc wszystko, co powiesz, będzie o wyglądzie, czyli o tym, o czym mówi jej każdy.

Druga to pełna powaga deklaracji. Zdania w rodzaju szukam czegoś poważnego, od razu ci powiem, że mi na tobie zależy, wypowiedziane na pierwszym czy drugim spotkaniu. To wygląda jak odwaga i szczerość, a jest zdjęciem całej lekkości ze stołu jednym ruchem. Flirt żyje z niedopowiedzenia i z drobnej gry, którą obie strony widzą. Deklaracja zamyka grę, zanim się zaczęła, jak ogłoszenie wyniku meczu w trzeciej minucie. Na powagę przyjdzie czas i w rozdziale o napięciu powiemy sobie, kiedy mówi się rzeczy wprost. Nie w pierwszym kwadransie.

Rzeczoznawca

Żeby było widać różnicę w naturze, jedna scena z następnej soboty. Sklep górski przy Puławskiej, ekipa ze ścianki robi zakupy, Ewa wybiera nową uprząż. Wybiera ją tak, jak się nie wybiera uprząży: ogląda szwy pod światło, ciągnie za klamry, waży w dłoni, krzywi się na kolor, odkłada, wraca. Sprzedawca powoli traci wiarę w sens swojego zawodu.

I Marek, patrząc na to, mówi bez żadnego planu: Wyglądasz jak rzeczoznawca w lombardzie. Zaraz powiesz panu, że złoto jest fałszywe.

Bo jest, odpowiada Ewa w pół sekundy, nie odrywając wzroku od kłamry. Ta na przykład jest z odzysku po jakimś parasolu. I dalej jedzie już samo, sprzedawca dostaje występ, ekipa się schodzi, ktoś dorzuca swoje.

Teraz zestaw te dwa zdania. Rzeczoznawca w lombardzie i Kłopoty robią konstrukcyjnie dokładnie to samo: komentarz zamiast pytania, lekka bezczelność, drobne wyzwanie rzucone w jej stronę. Jedno zgrzytnęło, drugie nie. Cała różnica mieści się w pochodzeniu: Kłopoty przyszły z kartki sprzed dwóch dni, lombard z dwudziestu sekund patrzenia na nią. Tego zdania nie było nigdzie na świecie, zanim je powiedział, więc nie mógł go wykuć, więc nie mogło zabrznieć jak wykute.

I nie, nie zapisuj sobie lombardu. U ciebie to będzie inne zdanie, o innym człowieku, w innym sklepie. Jak je przepisziesz stąd, właśnie zamieniłeś żywą rzecz w rozmówki i cały ten rozdział poszedł na marne.

Narzędzia

Cztery rzeczy do ćwiczenia w zwykłym tygodniu. Żadna nie wymaga randki, wszystkie robią dokładnie ten miesiąc, którego zabrakło w tajskiej knajpce.

1. Trzydzieści sekund patrzenia. Zanim się do kogoś odezwiesz, gdziekolwiek, w kolejce, na spotkaniu, w szatni, zauważ trzy konkretne rzeczy, które widać: co człowiek robi z rękami, czego pilnuje, co go zdradza. Nie musisz nic z tym robić. Trenujesz dostawę surowca, bo cały flirt jest zrobiony z tego, co zauważone, a ty przez lata patrzyłeś głównie w siebie, w to, jak wypadasz.

2. Komentarz zamiast pytania. Raz dziennie zamień jedno pytanie na spostrzeżenie, na kimkolwiek. Zamiast co tam w pracy, powiedz koledze: wyglądasz jak ktoś, kto dziś wygrał z drukarką. Licz,

ile razy człowiek się prostuje i sam dopowiada resztę. To jest miara, że spostrzeżenie ruszyło rozmowę z ankiety.

3. Jedna niezgoda dziennie. Raz dziennie powiedz na głos, lekko, że masz inne zdanie w drobiazgu. Bez wykładu, bez przepraszania, bez nawracania kogokolwiek. Najlepsza pizza nie jest z tego lokalu, najlepszy miesiąc w górach to nie sierpień. Chodzi o mięsień mówienia po swojemu, nie o wygranę sporu. Zauważysz, że świat się nie kończy, a rozmowy robią się ciekawsze.

4. Rozbiórka jednego gotowca. Znajdź w internecie jeden krążący tekst, taki z listy sprawdzonych. Rozbierz go na części: co on właściwie próbuje zrobić, spostrzeżenie, niezgodę, docinek, zaczepkę. Potem wyrzuć słowa i zostaw sam mechanizm, nazwany po twojemu. Gotowce są bezwartościowe jako słownik, ale bywają darmową lekcją gramatyki, pod warunkiem, że bierzesz z nich konstrukcję i spalasz resztę.

Arkusz 48 godzin

Dwa dni, kartka, długopis, jak zwykle.

Dzień pierwszy. Spis rozmówek. Wypisz z pamięci wszystkie gotowe teksty i zagrywki, które kiedykolwiek zapamiętałeś z internetu, z filmów, od kolegów. Wszystkie, ze wstydliwymi włącznie, ta lista jest tylko dla ciebie. Przeczytaj ją na głos. To jest zawartość twojej kieszeni i opróżniasz ją dziś, nie dlatego, że te zdania są zakazane, tylko dlatego, że masz wiedzieć, co nosisz. Potem w ciągu dnia trzy komentarze zamiast pytań, w zwykłych rozmowach. Wieczorem zapisz ten, po którym odpowiedź była najdłuższa.

Dzień drugi. Jedna rozmowa, w której zbudujesz jedno spostrzeżenie z patrzenia, tu i teraz, i powiesz jedną drobną niezgodę. Z kimkolwiek, płęć nie gra roli, mięsień jest ten sam. Wieczorem zapisz swoje zdanie słowo w słowo i to, co było widać przez następną minutę: dopowiedział, roześmiał się, sprostował, zmienił temat. Jeśli w ciągu dnia złapiesz się na recytowaniu czegoś ze spisu, zapisz i to. Notatka o nawrocie to nie porażka, to dowód, że zaczynasz słyszeć

różnicę u siebie, a od tego słuchu wszystko się zaczyna.

Arkusze jest zaliczony, kiedy istnieje spis, jedno zapisane spostrzeżenie i jedna zapisana niezgoda. Przemyślenie tego w drodze do pracy nie jest zaliczeniem. Kieszonki opróżnia się na kartce, nie w głowie.

Odpowiedź

Połowa lutego, znowu pierogarnia, sezon na lodowisku powoli się kończy i wszyscy o tym wiedzą, więc nikt o tym nie mówi. Marek i Ewa zostali przy stole ostatni, ekipa poszła na tramwaj.

Naucz mnie jednego zdania po hiszpańsku, mówi Marek.

Jakiego, pyta Ewa.

Dobrze mi się na ciebie patrzy.

Ewa patrzy na niego chwilę, potem mówi zdanie po hiszpańsku, wolno, dwa razy. Marek powtarza. Raz, drugi, trzeci, aż wychodzi porządnie, starannie, sylaba po sylabie, jak u tamtego turysty przy barze. I wtedy Ewa odpowiada. Po hiszpańsku, całą długą frazą, szybko, z uśmiechem w połowie, i patrzy wyczekująco.

Marek nie rozumie ani słowa. Nie mam pojęcia, co powiedziałaś, mówi po polsku. Ale brzmiało, jakbyś się w środku ze mnie śmiała, a na końcu zgadzała. Więc stoję przy swoim.

Ewa śmieje się na głos, tym swoim śmiechem znad kubka z herbatą, i mówi: no widzisz, dokładnie tak się mówi w obcym języku. Zdania znać nie musisz. Musisz zostać w rozmowie.

Tamten Hiszpan wróci do siebie i opowie znajomym o kraju, w którym nauczył się czterech zdań i żadne nie wystarczyło na barmankę. I będzie miał rację, choć nie zrozumie dlaczego. Rozmówki dają ci pierwsze zdanie i na pierwszym zdaniu kończy się ich robota, w Warszawie, w kabinie tłumaczy i przy stoliku, przy którym siedzi kobieta, która ci się podoba. Wszystko, co się liczy, dzieje się później, w odpowiedzi, której nie ma w żadnej książce. W tej też nie. Dlatego ta książka nie daje ci zdań, daje ci gramatykę i każe wyjść z domu. Resztę powiesz sam, słowami, których jeszcze nie ma, bo urodzą się dopiero

tam, przy stole.

Rozdział 4. Kto pyta, ten się chowa



Piątek, ósma rano, przychodnia medycyny pracy na parterze biurowca przy Prostej. Marek siedzi na krześle z regulowanym oparciem, na drzwiach wisi plan ewakuacji, a za biurkiem lekarka, której nigdy wcześniej nie widział i której prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy. Kadry przysłały skierowanie: badania okresowe, stanowisko biurowe, praca przy monitorze powyżej czterech godzin dziennie.

I lekarka pyta. Czy pali. Ile alkoholu w tygodniu. Jak śpi, czy się wybudza nad ranem. Czy w rodzinie były zawały, udary, cukrzyca. Na co umarł dziadek. Czy miewa bóle w klatce piersiowej przy wysiłku. Czy w ostatnim czasie coś go przygnębia. Pyta spokojnie, rzeczowo, patrząc na przemian na niego i w ekran, i każdą odpowiedź wpisuje w okienko formularza. Marek odpowiada na wszystko. Na pytania, których nie zadałby mu najbliższy kumpel po trzech piwach, odpowiada obcej kobiecie w osiem minut, na trzeźwo, przed dziewiątą.

Po kwadransie ta kobieta wie o nim więcej niż ludzie, z którymi siedzi w jednym pokoju od pięciu lat. Zna jego sen, jego ciśnienie, jego dziadka. A między nimi nie wydarzyło się nic. Zero. Lekarka drukuje orzeczenie, stawia pieczętkę i podaje mu kartkę: zdolny do pracy na wskazanym stanowisku. Cztery minuty później Marek stoi w windzie z kartką w ręce i nawet nie pamięta koloru jej oczu.

Zapamiętaj tę pieczętkę. Przyda się do końca rozdziału.

Bo właśnie zobaczyłeś rzecz, która rozkłada na łopatki połowę porad o rozmowie: najbardziej osobiste pytania świata, zadane jedno

po drugim, i ani grama bliskości. Jeśli o bliskości decydowałby temat pytania, z gabinetu medycyny pracy wychodziłoby się w stanie zakochania. Nie wychodzi się. Wychodzi się z pieczętką. Pytania szły z formularza, odpowiedzi szły do tabelki, a pytająca przez cały czas była za szybą. O tym jest ten rozdział: co takiego musi być w pytaniu, żeby nie było formularzem. I dlaczego Marek, który przez pół roku nauczył się naprawdę dużo, w najbliższą niedzielę usiądzie po drugiej stronie tego biurka. Po tej gorszej.

Nabór

Niedziela, przedpołudnie, śniadaniownia na Żoliborzu, dziesięć minut od mieszkania Ewy. Jajka po benedyktyńsku, za drogie jak wszędzie, za oknem luty udaje, że jest listopadem.

Marek przyszedł przygotowany. Mówię to bez ironii: on ma w telefonie notatkę. Po tamtym wieczorze na przystanku, kiedy jedno pytanie zadane serio otworzyło rozmowę, jakiej wcześniej nie mieli, Marek wyciągnął wniosek, jaki wyciąga analityk. Zadziałało pytanie, więc narzędziem jest pytanie. A skoro narzędziem jest pytanie, trzeba zbudować zapas. Osiem pozycji, od wspomnień z dzieciństwa po marzenia, każda sprawdzona, każda głęboka. Lista czekała w telefonie jak amunicja.

Jakie jest twoje najlepsze wspomnienie z dzieciństwa, pyta Marek gdzieś przy kawie.

I Ewa opowiada. O sadzie dziadków pod Olsztynem, o tym, jak z siostrą zbierały spady i sprzedawały je przy drodze z rozkładanego stolika, i jak pierwszy zarobiony banknot podarły na pół, żeby było sprawiedliwie. Śmieje się przy tym. A twoje, pyta.

U mnie standard, mówi Marek. Podwórko, trzepak. A powiedz, gdybyś mogła się jutro obudzić z jedną nową umiejętnością, co by to było?

Ewa patrzy na niego o ułamek sekundy za długo. Spać w samolotach, mówi i wraca do jajek.

A czego się bardziej boisz: że coś ci w życiu nie wyjdzie, czy że nawet nie spróbujesz?

Ewa odkłada widelec. Marek, mówi. Czy ja właśnie przechodzę drugi etap rekrutacji?

Słucham?

Bo od dwudziestu minut zadajesz mi pytania jak z naboru na stanowisko i nic nie mówisz o sobie. Ja opowiedziałam ci o sadzie, o siostrze i o podartej dziesięciozłotówce. Ty mi opowiedziałeś, że trzepak. Wiesz, że na prawdziwej rozmowie o pracę mówię o sobie więcej niż teraz?

Przecież słucham, mówi Marek. Zależy mi.

No właśnie widzę, mówi Ewa. Słuchasz jak komisja.

Jest w tym jedna trzecia żartu. Dwie trzecie nie są żartem. Rozmowa wraca potem na płyciznę, na wspinanie, na to, czyja kolej na rezerwację ścianki, i tam już zostaje do rachunku. Żegnają się normalnie, w porządku, tylko Marek całą drogę do metra czuje, że trzymał w ręce coś dobrego i sam nie wie, w którym momencie mu to wyslizgnęło.

Lustro weneckie

Postaw teraz obok siebie piątek i niedzielę, bo one są lustrzane.

W piątek Marek siedział po przesłuchiwanej stronie biurka i dostarczał danych. W niedzielę przesiadł się na drugą stronę i zaczął dane pobierać. Jego formularz był nawet lepszy niż ten lekarki, bo własnoręcznie ułożony z pytań głębokich, a nie z rubryk o dziadku. I skończyło się dokładnie tak samo: odpowiedzi poszły do tabelki, pytający został za szybą, bliskości zero. Ewa nazwała to bezbłędnie. Rekrutacja. Facet, który zadaje kolejne pytania i nie mówi nic o sobie, nie prowadzi rozmowy. Prowadzi nabór.

Zatrzymajmy się przy tym, jak Marek do tego doszedł, bo to nie jest błąd głupca. To jest błąd prymusa. Na przystanku zadziałało jedno pytanie, więc uznał, że siła leży w pytaniu, tak jak kiedyś uznał, że siła leży w żarcie, bo żart mu wychodził. Tylko że tamto pytanie z

przystanku nie wzięło się z listy. Wyrosło z tego, co Ewa sama przyniosła trzeci raz w ciągu tygodnia, a chwilę po nim Marek dołożył swoje, o dziale, w którym od roku nie zatrudnili juniora, o tym, że poza tabelkami nie umie nic rękami. Ona się odsłoniła, ale on też stał na widoku. W niedzielę z całej tej konstrukcji przeżyło tylko pytanie. Obserwację zastąpił zapasem, własny wkład zszedł do trzepaka. Skopiował słowa, zgubił mechanizm.

A mechanizm jest prosty i brutalny zarazem. Przesłuchanie ma lustro weneckie: jedna strona jest oświetlona i widoczna, druga siedzi w ciemności i patrzy. Człowiek po oświetlonej stronie czuje to skórą, nawet jeśli nie umie nazwać. Czuje, że jest oceniany, bo asymetria odsłonięcia to jest ocena, niezależnie od intencji. Czuje, że jego odpowiedzi nie mają się o co zaczepić, bo zwierzenie przyciąga zwierzenie, a tu z drugiej strony nie przychodzi nic i każda opowieść wisi w próżni jak głos w pustym mieszkaniu. I czuje, że jest z niego pobierane. Może nie umie powiedzieć co, ale wie, że coś oddaje i nic nie dostaje. Wtedy odpowiedzi robią się krótsze. Sad zamienia się w spanie w samolotach.

Zwróć uwagę, że Ewa dała Markowi wyjście, zanim postawiła sprawę wprost. Opowiedziała o sadzie i zapytała: a twoje. To było podane na tacy, zaproszenie do wymiany, miejsce przygotowane specjalnie dla niego. Marek odpowiedział trzepakiem i wrócił do listy, bo lista czekała, a misja to misja. Ludzie prawie zawsze dają taką szansę, i to nieraz kilka razy, zanim się wycofają. Oddają pytanie, zawieszają głos, zostawiają w swojej opowieści niedomknięte drzwi. Facet z listą tego nie widzi, bo nie patrzy na człowieka, tylko na kolejną pozycję. I potem opowiada kumplowi, że rozmowa jakoś nie zaskoczyła. Zaskoczyłaby. Trzy razy próbowała.

Najsmutniejsze jest to, skąd się bierze ten błąd. Nie z wyrachowania. Ze strachu. Pisał ktoś na forum lata temu: „Boje się że mnie oleje. Kurcze panowie jak ogarnąć temat???”. Lista pytań wygląda na ratunek przed tym strachem: z gotowym tematem nikt cię nie oleje. To prawda, nie oleje. Zabraknie ciebie. I drugi głos, z tego

samego forum, ten sam węzeł od drugiej strony: „Nie wiem jak to zainicjować, jak dać się jej poznać, po prostu jak ją sobą zainteresować.”. Przeczytaj to zdanie uważnie. Facet chce, żeby ona go poznała, i szuka sposobu, jak to zrobić, nie pokazując się. A tak się nie da. Dać się poznać to nie jest coś, co można komuś zlecić pytaniami. Nie zainteresujesz jej sobą, którego nie ma przy stole.

Martwe i żywe

Skoro temat pytania nie decyduje o niczym, to co decyduje? Trzy rzeczy. Skąd pytanie pochodzi, o co pyta i czy pytający sam coś kładzie na stół.

Po pierwsze, żywe pytanie rośnie z obserwacji, nie z zapasu. Jest na to prosty test: czy to pytanie mógłbyś zadać każdej osobie przy każdym stole na świecie? Jeśli tak, jest z formularza. Pytanie o najlepsze wspomnienie z dzieciństwa jest dobrym pytaniem i jednocześnie pasuje do każdego człowieka na ziemi, i ludzie to słyszą, tak jak słyszy się różnicę między listem a mailingiem. Pytanie żywe da się zadać tylko tej osobie i tylko dziś, bo odwołuje się do czegoś, co przy tobie zrobiła, powiedziała, jak zawiesiła głos. Obserwacja jest dowodem, że patrzysz na nią, a nie na swoją listę. Tego dowodu nie da się podrobić, bo materiał do niego powstaje dopiero przy stole.

Po drugie, żywe pytanie pyta o wybór i o powód, nie o fakt. Fakty się kończą kropką. Ile znasz języków: dwa i pół, koniec. Skąd jesteś: z Olsztyna, koniec. Fakt ma odpowiedź, wybór ma historię, bo za każdym wyborem stoi powód, a za powodem stoi człowiek. Nie pytaj, gdzie mieszka, zapytaj, co ją w Warszawie trzyma, a za czym z Olsztyna tęskni. Nie pytaj, czym się zajmuje, zapytaj, co by w tym zawodzie zostawiła, gdyby mogła wyciąć jedną rzecz. Fakty ona ma w dowodzie osobistym. Ciebie interesuje to, czego w żadnym dokumencie nie ma.

Po trzecie, żywe pytanie ma wkład własny. Zanim zapytasz, połóż swoje. Jedno prawdziwe zdanie od ciebie, przed pytaniem albo tuż po jej odpowiedzi, zamienia pobieranie w wymianę. I to zdanie robi

jeszcze jedną robotę: ustawia głębokość. Ona widzi, na które piętro sam zszedłeś, i może zejść do ciebie albo nie. To jest jej ruch i żadna konstrukcja pytania go nie wymusi.

Teraz zobacz to na przykładach, martwe i żywe obok siebie.

Martwe: lubisz swoją pracę? Ankieta. Odpowiedź: w sumie tak. Koniec transmisji. A teraz ta sama ciekawość zbudowana inaczej: ja w swojej robocie najbardziej lubię moment, kiedy tabela po trzech godzinach szukania w końcu się zgadza, głupia satysfakcja, ale zawsze działa. Masz w kabinie taki moment? Rozbierz to. Jest wkład: on przyznaje się do małej, trochę wstydlivej przyjemności, czyli sam już stoi na widoku. Jest obserwacja: kabina, jej świat, nie świat w ogóle. I jest pytanie o jej wybór, o to, co ona w tej pracy naprawdę lubi, a nie o etat. To samo pytanie, inna budowa, inny los.

Martwe: masz plany na weekend? Pytanie, które zadaje fryzjer, taksówkarz i ciotka, i dlatego znaczy mniej więcej tyle co dzień dobry. Żywe nie musi być wcale poważne: ty mi wyglądasz na osobę, która niedzielę ma zaplanowaną co do godziny. Albo dokładnie odwrotnie i w mieszkaniu jest chaos. Nie umiem zgadnąć. Tu nie ma żadnej głębi, jest obserwacja i odrobina ryzyka, bo zgadujesz na głos i możesz się pomylić. Właśnie to ryzyko odróżnia rozmowę od ankiety. Ankieter nie ryzykuje nigdy.

Martwe: podobało ci się? Po filmie, po koncercie, po wystawie. Żywe: mnie ten koniec zezłościł, bo przez dwie godziny budowali człowieka, a potem załatwili go jednym skrótem. A ty wyszłaś zadowolona, widziałem. Z czym ty z tego wyszłaś? Najpierw własne zdanie z powodem, potem ciekawość jej powodu. Obejrzeliście ten sam film i wynieśliście z niego różne rzeczy, i o tę różnicę toczy się cała rozmowa.

Jest jeszcze czwarty element, o którym zapomina każdy, kto myśli pytaniami: odpowiedź. Żywe pytanie nie kończy roboty w momencie zadania, ono ją dopiero zaczyna. Kiedy ona odpowiada, w jej odpowiedzi prawie zawsze jest jedna rzecz powiedziana inaczej niż reszta, wolniej, z wahaniem, z uśmiechem nie do końca na miejscu. To

jest nitka. Ciągniesz nitkę, nie listę. Jeśli po jej opowieści o sadzie następne pytanie brzmi: a jaka jest twoja ulubiona pora roku, to właśnie ogłosiłeś, że nie słuchałeś. Jeśli brzmi: czekaj, podarłyście banknot na pół i co, każda nosiła swoją połowę, to jesteś w rozmowie. Drażnienie jednej odpowiedzi jest warte więcej niż pięć nowych pytań, bo pokazuje jedyną rzecz, której nie da się udawać: że to, co powiedziała, gdzieś w tobie zostało.

I teraz uwaga, bez której ten podrozdział zrobi więcej szkody niż pożytku: nie przepisuj tych zdań do notatki w telefonie. Dokładnie tak umarła niedziela Marka. Te przykłady pokazują przejście, nie treść. Za tydzień przy innym stole będzie inna obserwacja, inny wybór i inny twój wkład, i zdania ułożą się same, o ile budujesz je z tego, co jest przy stole, a nie z tego, co przyniosłeś w kieszeni.

Została jeszcze dawka. Dwa, może trzy takie pytania na cały wieczór. Nie osiem. Rozmowa, w której głębokie pytania idą seriami, przestaje być rozmową nawet wtedy, gdy każde z nich jest zbudowane bezbłędnie. Reszta wieczoru to zwykłe gadanie, żarty, cisza, sprzeczka o film, czyli stany, które znasz z rozdziału o łyżwach. Żywe pytanie to zejście w bliskość, a w bliskości, jak w każdym stanie, nie wolno zamieszkać.

Za głęboko, za wcześnie

Jest jeszcze druga strona tej pułapki, odwrotna i równie skuteczna. Facet czyta, że bliskość buduje się na zwierzeniach, więc na pierwszym albo drugim spotkaniu ścisza głos i pyta, dlaczego rozpadł się jej ostatni związek. Albo jaka jest jej relacja z ojcem. Albo czego w życiu najbardziej żałuje. Pytania jak z długiej rozmowy nocnej, zadane w godzinę po poznaniu, przy stoliku, obok którego kelner zbiera talerze.

I ona się nie otwiera. Odpowiada grzecznie i ogólnie, że różnie bywało, że stare dzieje. Bierze telefon do ręki, odkłada. Odpowiedzi robią się okrągłe jak z konferencji prasowej. On dokłada kolejne głębokie pytanie, bo przecież czytał, że głębokie działa, i atmosfera robi się jak w poczekalni u terapeuty, tyle że bez terapeuty. Po

spotkaniu on opowiada kumpłowi, że była jakaś zamknięta. Nie była zamknięta. Była pytana o piwnicę przez kogoś, komu jeszcze nie pokazała przedpokoju.

Wróć do lekarki z początku rozdziału. Ona mogła zapytać o dziadka i o przygnębienie w trzeciej minucie znajomości, bo miała kontrakt: gabinet, fartuch, tajemnicę lekarską i pieczętkę na końcu. Obie strony wiedziały, po co są te pytania i dokąd idą odpowiedzi. Ty przy stoliku nie masz żadnego kontraktu. Twój kontrakt buduje się w trakcie, z tego, co sam już odsłoniłeś. Zasada jest taka: pytaniem możesz sięgać pół piętra poniżej poziomu, na który sam zszedłeś. Opowiedziałeś o swojej małej porażce, możesz zapytać o jej. Nie opowiedziałeś o niczym, nie pytaj o rozwód rodziców, choćby pytanie było najczulsze na świecie.

Zauważ, że obie pułapki tego rozdziału to jest ta sama pułapka, tylko ustawiona w dwóch kierunkach. Ankieter pyta szeroko i nie wnosi nic. Domorosły terapeuta pyta głęboko i też nie wnosi nic, bo cudza rana to nie jest jego wkład, to jest jego apetyt. W obu wypadkach on siedzi po ciemnej stronie lustra, a różnica polega tylko na tym, o co prześwietla. Dlatego lekarstwo jest jedno i to samo: zanim sięgniesz po cokolwiek jej, połóż coś swojego, i sięgaj płycej, niż położyłeś.

Po czym poznać, że sięgnąłeś za głęboko? Po płytkiej odpowiedzi na głębokie pytanie. Człowiek zapytany za wcześniej prawie nigdy nie mówi: za wcześniej. Mówi ogólnik. Żartuje. Zmienia temat. To nie jest zaproszenie do drażnienia, to jest informacja, i to podana kulturalnie. Odpowiedź jest jedna: cofasz się bez przepraszania, bo przeprosiny robią z drobiazgu wydarzenie. Jedno lekkie zdanie, zmiana stanu, rozmowa jedzie dalej. Głębokość wróci sama, kiedy kontrakt urośnie. Albo nie wróci, i to też jest odpowiedź, tylko nie na to pytanie, które zadałeś.

Narzędzia

Cztery rzeczy do trenowania na ludziach, których i tak spotykasz. Żadna nie wymaga randki.

1. Zdanie przed pytaniem. Przez jeden dzień każde pytanie, które zadajesz, poprzedzasz jednym zdaniem od siebie. Każde, ze wszystkimi, z kumplem, z matką, z człowiekiem w serwisie rowerowym. Zamiast: i jak było na urlopie, mówisz: ja z ostatniego urlopu pamiętam głównie awarię auta pod Suwałkami, a u ciebie jak było. Po jednym dniu poczujesz, jak często pytasz z ukrycia. Po tygodniu zaczniesz kłaść swoje odruchowo.

2. Przeróbka trzech pytań. Wieczorem, na kartce, wypisz trzy pytania, które zadajesz zawsze i wszystkim: skąd jesteś, co robisz, jak minął tydzień. I przerób każde: dołóż obserwację, jaką mógłbyś mieć, zamień fakt na wybór z powodem, dopisz swój wkład. Nie po to, żeby wykuć wynik. Po to, żeby ręka nauczyła się przejścia, tak jak uczy się go na tych trzech przykładach wyżej.

3. Licznik odślon. Po każdej dłuższej rozmowie dnia policz dwie rzeczy: ile zadałeś pytań i ile powiedziałeś o sobie zdań z jakąkolwiek wagą. Grzecznościowe nie liczą się po żadnej stronie. Zapisz wynik jak wynik meczu. Osiem do zera to nie jest wynik słuchacza, to jest wynik ankietera. Po tygodniu zobaczysz swój wzorec czarno na białym.

4. Jedno pytanie nie do przeniesienia. Raz dziennie zadaj komuś pytanie, którego nie dałoby się zadać nikomu innemu, bo wyrosło z czegoś, co u tej osoby dziś zauważyłeś. Koledze, który trzeci raz w tym miesiącu wspomina o kursie: słuchaj, co cię w tym kursie tak trzyma, bo wracasz do niego jak do niedokończonych sprawy. Nie zapisuj pytań na zapas. Cały trening polega na tym, że materiał zbierasz na miejscu.

Arkusz 48 godzin

Dwa dni, kartka, długopis.

Dzień pierwszy. Diagnoza. Po dwóch dłuższych rozmowach zapisz licznik odślon: pytania do zdań o sobie. Bez poprawiania wyniku w trakcie, dziś tylko mierzysz. Wieczorem zrób przeróbkę

trzech pytań z narzędzia drugiego, na papierze, ze swoim wkładem włącznie. Jeśli przy którymś nie umiesz dopisać nic od siebie, zapisz i to. Właśnie znalazłeś miejsce, w którym chowasz się najgłębiej.

Dzień drugi. Jedna rozmowa, w której robisz dwie rzeczy naraz: przynajmniej dwa razy kładziesz zdanie od siebie przed pytaniem i zadajesz jedno pytanie nie do przeniesienia, zbudowane z obserwacji z tej rozmowy. Wieczorem zapisz to pytanie słowo w słowo i to, co było po nim przez minutę: opowiedział, zbył, oddał pytanie, zmienił temat. Jeśli cały dzień minął, a pytanie nie padło, zapisz, co zauważyłeś u ludzi, z którymi gadałeś. Jeśli nie zauważyłeś nic, to jest twój prawdziwy wynik i twoje pierwsze zadanie: patrzeć, nie pytanie.

Arkusz jest zaliczony, kiedy masz liczniki z dwóch dni, trzy przerobione pytania i jedno zapisane pytanie z obserwacji razem z tym, co po nim przyszło. Samo przeczytanie rozdziału nie zmienia nic. Czytanie masz opanowane od lat.

Czwartek

Czwartek, ścianka, ta sama co zawsze. Ewa wtyka magnesję za pas i przymierza się wzrokiem do przewieszki, która zrzuciła ją tydzień temu.

Byłem w piątek na badaniach okresowych, mówi Marek, kiedy siedzą pod ścianą i odpoczywają. Medycyna pracy, ósma rano. Obca kobieta w kwadrans dowiedziała się o mnie więcej niż mój dział przez pięć lat. Na co umarł dziadek, jak śpię, czego się boję. Odpowiedziałem na wszystko, dostałem pieczętkę i tyle. Wyszedłem i nie pamiętałem nawet koloru jej oczu.

Ewa patrzy na niego z ukosa, jeszcze nie wiedząc, dokąd to idzie.

I w niedzielę zrobiłem ci dokładnie to samo, mówi Marek. Tylko bez fartucha. Miałem listę w telefonie. Osiem pytań. Doszedłem do trzeciego.

Pokaż, mówi Ewa.

Marek podaje telefon. Ewa przewija notatkę, raz unosi brwi, oddaje.

Dobre są, mówi. Przy piątym bym wyszła.

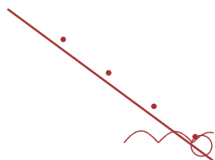
Śmieją się oboje i idą się wspinać, i Ewa znowu odpada z przewieszki, i klnie pod nosem, cicho, po hiszpańsku. Marek słyszy to nie pierwszy raz. Ale pierwszy raz naprawdę słyszy.

Wiesz, że ja jak mi nie schodzi formuła w arkuszu, to liczę po cichu do czterech, mówi, kiedy Ewa odwiązuje się od liny. Od studiów. Nikomu tego nie mówiłem, bo to jest idiotyczne. A ty przy trudnych chwytach przechodzisz na hiszpański. Czemu akurat on, a nie polski?

Ewa zastyga z liną w ręce. Zauważyłeś, mówi. I potem opowiada, wolno, nie tak, jak się odpowiada na pytanie z listy. Że hiszpańskiego uczyła się już jako dorosła, że to jest jedyny język, w którym najpierw mówi, a dopiero potem sprawdza, czy wypada. Że po polsku słyszy w głowie wszystkich, którzy jej kiedyś mówili, jak powinna brzmieć, a po hiszpańsku słyszy tylko siebie. Że w kabinie czasem, jak tłumaczenie idzie źle, przeklina do wyłączonego mikrofonu po hiszpańsku i to jest jej prywatna wentylacja, o której nie wie nawet koleżanka z kabiny. Mówi długo. W hali robi się głośno, ktoś odpada z sąsiedniej drogi, a oni siedzą pod przewieszką i rozmawiają o rzeczy, której jeszcze godzinę temu nie było na świecie.

Bo tego pytania nie było rano w żadnej notatce i nie mogło być. Urodziło się z patrzenia, zapytało o wybór i o powód, i kosztowało Marka jedno przyznanie się do liczenia do czterech. Tyle waży różnica między formularzem a rozmową: jedno spostrzeżenie i jeden kawałek siebie położony na stole pierwszy. Co z tym zrobi druga strona, to już jest jej ruch i nie ma na to pieczętki. Ale kiedy robi to, co Ewa zrobiła w czwartek pod przewieszką, obie strony wychodzą z czymś, czego żaden formularz świata nie wyda. Z gabinetu przy Prostej wychodzi się z orzeczeniem. Z takiej rozmowy wychodzi się z dalszym ciągiem.

Rozdział 5. Ciężar próbny



Czwartek, koniec lutego, ta sama hala co zawsze. Zapach magnezji i gumy, z głośników składanka, której nikt sobie nie wybrał. Ktoś z ekipy przyprowadził kolegę z pracy: chłopak po trzydziestce, buty z wypożyczalni, uprząż zapięta tak starannie, że od razu widać, ile razy sprawdzał klamry.

Wypada na Marka, żeby go poasekurować. Wiązą się, chłopak rusza. Trzy chwyt, pierwsza wpinka. Dwa chwyt wyżej druga. I wtedy, jakieś cztery metry nad materacem, chłopak zatrzymuje się, patrzy w dół i pyta: możesz mnie chwilę potrzymać?

Marek wybiera linę. Chłopak puszcza chwyt i siada w uprząży, całym ciężarem. Nie odpoczywa, bo nie ma po czym odpoczywać, droga dopiero się zaczęła. Wisi i patrzy w dół: na linę, na przyrząd, na rękę Marka. Pięć sekund, może sześć. Potem mówi: dobra, dzięki. Wraca na ścianę i idzie do samej góry, spokojnie, o niebo spokojniej niż przez tamte pierwsze metry.

Zapamiętaj te pięć sekund. Będą nam potrzebne do końca rozdziału.

Bo zobacz, co ten chłopak właściwie zrobił. Nie sprawdzał liny, lina jest atestowana i utrzymałaby samochód. Nie sprawdzał uprząży, zapiął ją trzy razy. Sprawdzał człowieka na dole. Czy trzyma. Czy nie ma luzu. Czy jak polecą naprawdę, z wysokości, z której upadek boli, na dole będzie stał ktoś, kto stoi. Więc zanim powierzył Markowi cały ciężar tam wysoko, obciążył go kawałkiem tu nisko, gdzie upadek jest śmieszny. I nikt w tej hali nie uznał tego za atak. Marek utrzymał, lina się napięła, koniec sprawdzania. Obaj wyszli z tego lepiej: chłopak

wiedział, że może lecieć, a Marek dostał wspinacza, który przestał się oglądać w dół.

Godzinę później siedzą z Ewą przy stoliku pod ścianą, herbata z automatu, ręce jeszcze ciepłe od wspinania. Marek opowiada o wiośnie. Że jak zejdzie śnieg, mogliby wyskoczyć w skały, choćby na Jurę, on ogarnie nocleg, ona weźmie tę swoją linę, o której mówi od miesiąca. I na końcu dokłada zdanie proste i prawdziwe: z nikim mi się tak dobrze nie planuje jak z tobą.

Ewa przekrzywia głowę. Ładne, mówi. Masz to w tej swojej notatce, między pytaniem czwartym a piątym, czy dopisałeś na świeżo?

I Marek zaczyna tłumaczyć. Że nie, że tamtą notatkę skasował, może pokazać telefon. Że to, co powiedział, powiedział naprawdę, bo naprawdę tak myśli. Że ona chyba nie sądzi, że on by czytał takie rzeczy z kartki. Trzy zdania, cztery, tempo rośnie z każdym następnym.

Marek, mówi Ewa. Żartowałam.

I niby nic się nie stało. Dopijają herbatę, gadają o niedzieli, żegnają się normalnie. Tylko wieczór robi się o pół tonu za grzeczny i taki już zostaje. W metrze Marek przewija tę wymianę w głowie i nic mu się nie klei: przecież odpowiedział uczciwie, na każdy zarzut z osobna. A czuje się, jakby coś oddał i nic za to nie dostał.

Co ona właściwie sprawdzała

Zacznijmy od tego, o co Ewa nie pytała. Nie pytała o notatkę. Gdyby chciała wiedzieć, czy zdanie było z notatki, zapytałaby bez iskry w oku, a odpowiedź by ją obchodziła. Tu odpowiedź nie miała znaczenia i właśnie po tym poznaje się ten rodzaj zdania: treść jest wymienna. Mogła zaczepić o notatkę, mogła rzucić, że na Jurze w maju i tak leje, mogła powiedzieć coś sprzecznego z tym, co sama mówiła kwadrans wcześniej, w stylu: najpierw, że nie znosi planowania, a potem, że mógłbyś częściej coś zaplanować. Jeśli słuchasz samej treści, zgłupiejesz. Kaliber dobiera się przypadkiem. Ciężar jest zawsze ten sam: zdanie, po którym łatwo się zachwiać.

I zanim pójdziemy dalej, jedna rzecz musi wybrzmieć od razu, bo bez niej ten rozdział zrobi ci krzywdę: to nie jest kobieca specjalność. To robią wszyscy i tobie robili to od zawsze. Pierwszy tydzień w nowej robocie: ktoś przy wszystkich rzuca docinek o twoich tabelkach, o twoim klubie, o twoich kanapkach. Teś przy niedzielnym stole, nad schabowym, pyta, czy z tego twojego internetu w ogóle da się żyć. Kolega w szatni komentuje, że nowe buty to pewnie kryzys wieku średniego. Nikt z nich nie wypełnia arkusza oceny. Każdy z nich robi to, co tamten chłopak na linie: siada ci w linę kawałkiem ciężaru, zanim położy większy. Nie słucha odpowiedzi. Patrzy, co się z tobą dzieje, kiedy odpowiadasz. Czy się nie rozsypiesz. Czy jesteś sobą pod presją, czy tylko wtedy, kiedy wszyscy ci przyklaskują. Czy przy tobie można mówić normalnie, czy trzeba chodzić na palcach.

Zresztą ty też to robisz. Przypomnij sobie, jak twoja ekipa przyjmuje nowego. Docinek na wejściu to nie jest wrogość, to jest zaproszenie: u nas się dogryza, zobacz, czy ci to leży. Nowy, który się obrazi, ma pod górkę. Nowy, który rozplynie się w przeproszaniu, też. Zostaje ten, który się uśmiechnie i odpowie spokojnie, po swojemu. Wszyscy to wiedzą i nikt tego nigdzie nie zapisuje.

Jest i druga prawidłowość, mniej oczywista: tych zdań robi się więcej dokładnie wtedy, kiedy między wami zaczyna się coś dziać. Wygląda to na złośliwość losu, a jest prostą mechaniką. Im większy ciężar ktoś zamierza na tobie położyć, tym staranniej obciąża próbnie. Nikt nie sprawdza poręczy, o którą nie zamierza się oprzeć; obcy człowiek w tramwaju nie zaczepia cię o notatki w telefonie. Więc chwila, która wygląda jak psucie dobrego wieczoru, bywa jego najlepszą wiadomością. Bywa, nie jest zawsze, i do tego jeszcze dojdziemy.

W internecie ta chwila ma swoją nazwę: testy. Całe poradniki o tym, jak je zdawać, z listami zagrywek i prawidłowych odpowiedzi, jakby rozmowa z kobietą była egzaminem na prawo jazdy. Pisał ktoś na forum lata temu: „Nie wiem co mam robić, czy to rzeczywiście dałem się zlapać na jakis test i co mam teraz zrobić, żeby to naprawić,

pomozcie". Przeczytaj to zdanie jeszcze raz i zobacz, co ten język zrobił z człowiekiem. Facet siedzi po wieczorze z kobietą, która mu się podoba, i nie myśli o niej. Myśli o wyniku. Dał się złapać, musi naprawić, prosi o pomoc jak przed komisją poprawkową. Język egzaminu zbudował mu w głowie salę: ona za stołem, on przed stołem, gdzieś klucz odpowiedzi, którego nie dostał. Tylko że nie ma sali, nie ma komisji i nie ma klucza. Jest człowiek, który chce wiedzieć, czy drugi człowiek stoi na własnych nogach, zanim się o niego oprze. Tego się nie zdaje. Pod niewygodnym zdaniem po prostu się jest sobą albo się być przestaje, i oba wyniki widać gołym okiem.

Jeszcze jedno, żeby obraz był uczciwy: ona najczęściej nie robi tego z planem. Ewa nie siedziała nad herbatą z tezą do zweryfikowania. Coś ją zaswedziało, może tamta notatka, może to, że zdanie o planowaniu było większe, niż się spodziewała, i zaczepka wyszła z niej sama, tak jak z ciebie wychodzi, kiedy dogryzasz nowemu w robocie. Ten mechanizm pracuje pod spodem, u niej i u ciebie. Pisał ktoś na forum lata temu, o sobie, ale pasuje do wszystkich: „Racjonalnie potrafię sobie odpowiedzieć lecz podświadomie działałam i czuję się źle.” No właśnie. Racjonalna warstwa dorabia uzasadnienia po fakcie. Sprawdzanie i chwianie się dzieją się piętro niżej.

Zapytasz może, co w takim razie z tą chwilą zrobić, skoro treść jest wymienna. I to jest dobre pytanie, bo odpowiedź brzmi: mniej, niż myślisz. Nie musisz rozszyfrowywać, co ona naprawdę miała na myśli, bo ona sama najczęściej nie wie. Nie musisz wygrywać, bo nie ma meczu. Nie musisz nawet błyskotliwie odpowiedzieć, bo nie o odpowiedź chodzi. Musisz jedynie nie zrobić dwóch rzeczy, które robi prawie każdy. Pod takim zdaniem facet ma dwa odruchy i oba zamykają rozmowę. Pierwszy widziałeś przy herbacie.

Cios za cios

Co powiedziało Ewie tłumaczenie Marka? Nie to, co było w słowach. W słowach była niewinność: notatka skasowana, zdanie prawdziwe. Powiedziało jej to, co siedziało pod słowami: jedno lekkie zdanie

wystarczy, żeby mnie wytrącić. Moja równowaga jest w twoich rękach, obchodź się z nią ostrożnie. Wróć do tamtej liny. Wspinacz siada w uprzęż, a asekurant na dole zaczyna przeproszać, gorączkowo poprawiać coś przy przyrządzie, zapewniać, że wszystko gra. Da się z takim wspinać? Da. Da się przy nim polecieć? Nie bardzo. Tłumaczenie się z zarzutu, którego nikt nie postawił, mówi więcej niż każda zaczepka. To Marek obsadził Ewę w roli prokuratora. Ona tej roli nie brała. Dostała ją w prezencie, razem z całą władzą, o którą nie prosiła.

Drugi odruch Marek przetestował tydzień później i wyszło mu jeszcze drożej.

Czwartek, po wspinaniu, duży stół, cała ekipa. Marek ma za sobą tydzień przeżuwania tamtej herbaty i wniosek, jaki wyciąga facet karmiony internetem: nie dawać sobie dogryzać. Trzymać fason. Oddawać.

Ewa opowiada coś przy wszystkich i rzuca w przelocie: Marek się wspina jak arkusz kalkulacyjny. Trzy minuty patrzy w ścianę, układa plan, potem go wykonuje i dziwi się, że w międzyczasie zeszły mu ręce. Stół się śmieje, zwyczajnie, życzliwie. Śmieje się też Marek.

I oddaje: a ty, jak ci nie idzie, przechodzisz na hiszpański. Wszyscy myślą, że to taki urok, a to panika.

Trafia idealnie. Stół śmieje się głośniej niż przed chwilą, ktoś powtarza puentę. Punkt dla Marka. Ewa też się uśmiecha, samymi ustami, i sięga po butelkę z wodą, chociaż przed chwilą piła. Przez resztę wieczoru jest miła, rozmowna i nieobecna. Zbiera się pierwsza, bo jutro kabina od ósmej. Może rzeczywiście od ósmej.

Ty pewnie widzisz, co się stało, szybciej, niż zobaczył Marek. Jemu zeszło do pierwszej w nocy.

Kontratak wygrał wymianę i przegrał wszystko poza nią. Po pierwsze, powiedział dokładnie to samo co tłumaczenie, tylko basem: ruszyło mnie. Odwet to nie jest dowód równowagi, to jest utrata równowagi w drugą stronę. Wspinacz usiadł w linę, a asekurant w odpowiedzi szarpnął. Po drugie, przy stole zaczęła się gra w punkty, a

ci dwoje do tego wieczoru w punkty nie grali. I po trzecie, najgorsze: żeby oddać celnie, Marek sięgnął po najcelniejszy pocisk, jaki miał pod ręką. A najcelniejsze pociski robi się z zaufania. Hiszpański spod przewieszki nie był materiałem na żart przy stole. Był rzeczą powiedzianą jemu, wolno, po pytaniu, którego nikt wcześniej nie zadał, jedną z tych rzeczy, o których nie wie nawet koleżanka z kabiny. Ewa nie usłyszała przy tym stole riposty. Usłyszała, że to, co mu odda na przechowanie, może wrócić jako amunicja. Rozmowa nie zamknęła się dlatego, że Ewa przegrała wymianę. Zamknęła się dlatego, że przestało być bezpiecznie cokolwiek mu oddawać.

I to jest różnica, której tamte poradniki nie łapią nigdy: obie te reakcje, uległa i zbrojna, są tym samym ruchem. W obu treść zaczepki robi się ważniejsza niż człowiek, który ją powiedział. W obu on się chwije. Raz do przodu, raz do tyłu.

Uwaga, która znaczy dokładnie to, co znaczy

W piątek o dziewiętnastej przychodzi wiadomość. Bez emotki: śmiałam się wczoraj, bo wszyscy się śmiali. ale hiszpański opowiedziałam tobie, nie stołowi. nie rób tak więcej.

Zatrzymajmy wszystko, bo tu jest najważniejszy zakręt tego rozdziału. Po kilku stronach o tym, że zaczepne zdania rzadko są o treści, aż się prosi wniosek o jedno piętro za szeroki: że każda niewygodna uwaga to sprawdzanie i żadna nie znaczy tego, co znaczy. To jest nieprawda, i to nieprawda wygodna, bo daje dożywotnią wymówkę. Facet uzbrojony w taką teorię przestaje słyszeć cokolwiek. Każda pretensja to gierka, każda granica to zagadka, wszystko można odbić żartem i niczego nie trzeba brać do siebie. Z takim człowiekiem nie da się załatwić żadnej prawdziwej sprawy i ludzie orientują się w tym szybciej, niż on zdąży być z siebie dumny.

Czasem uwaga znaczy dokładnie to, co znaczy. Po czym poznać? Pewności nie ma nigdy, ale sygnały są czytelne. Zaczepka jest zwykle lekka, rzucona w przelocie, z iskrą, i nie czeka na protokół. Uwaga serio jest inna: dotyczy konkretnej rzeczy, którą zrobiłeś, a nie tego,

jaki jesteś. Jest powiedziana spokojnie, częściej w cztery oczy niż przy ludziach. Nie ma w niej uśmiechu. I wraca. Pamiętasz drugie podanie z rozdziału o łyżwach: temat, do którego człowiek wraca, jest dla niego ważny, i tutaj obowiązuje to samo prawo. Do tej listy dołóż jeszcze jedną pozycję, najprostszą: granica znaczy to, co znaczy, zawsze. Mam chłopaka znaczy, że ma chłopaka. Nie znaczy nie. Nie chcę o tym mówić znaczy, że nie chce o tym mówić. Granica to nie jest zaproszenie do wykazania się odpornością. Granicę się przyjmuje, bez dyskusji i bez żartu.

Zobacz to samo na przykładzie spoza randek, bo tam widać ostrzej. Kolega w szatni rzuca przy wszystkich, że znowu przyszedłeś ostatni, i szczerzy się przy tym: zaczepka, odpowiadasz spokojnie albo wcale. Ale kiedy ten sam kolega łapie cię po treningu na boku i mówi bez uśmiechu, że trzeci raz z rzędu czekali na ciebie kwadrans i że go to wkurza, to nie jest żadne sprawdzanie. To jest informacja o kwadransie, który zabrałeś trzem ludziom. Odbicie jej żartem nie będzie dowodem równowagi. Będzie dowodem, że nie da się z tobą załatwić sprawy.

Wiadomość Ewy ma komplet: konkret, spokój, cztery oczy, zero uśmiechu. To nie jest siadanie w linę. To jest człowiek, który mówi, że lina go wczoraj przetarła.

Marek robi jedyną rzecz, która tu pasuje: traktuje to poważnie. Odpisuje po kwadransie: masz rację. to było twoje, nie moje do rozdawania. przepraszam. I już. Bez trzech akapitów o tym, że nie chciał, że kontekst, że przecież wszyscy się śmiali. Tłumaczenie się z winy, której nie ma, jest słabe, ale kluczenie przy winie, która jest, jest jeszcze słabsze. Wina była. Jedno przyjęcie, jedno przeproszenie, koniec.

Co Ewa z tym robi, to jest jej ruch, nie jego, i żadna technika tego nie ustawi. Odpisała po godzinie: ok. I z tym ok Marek musiał wytrzymać do czwartku.

Trzymanie

W czwartek na ścianie jest normalnie. To znaczy prawie normalnie: rozmowa chodzi, ale bliżej ziemi niż zwykle. Dopiero przy rozgrzewce, kiedy Marek sięga po linę, Ewa rzuca: no nie wiem, czy chcę, żebyś ty mnie dzisiaj trzymał. arkusze kalkulacyjne mają podobno wolny refleks.

Tydzień temu Marek by się z tego wytłumaczył. Dwa tygodnie temu by oddał. Dziś mówi spokojnie: mają. Za to nie puszczają. Wiąż się.

Ewa patrzy na niego sekundę dłużej, niż trwa żart. I się wiąże.

Zobacz, z czego składa się ta odpowiedź, bo składa się prawie z niczego. I nie przepisuj jej do telefonu, umrze tam tak samo, jak umarła lista pytań z poprzedniego rozdziału. To nie jest tekst do wykucia. To są trzy rzeczy, które nie są tekstem. Przyjęcie: mają, on się nie kłóci z zaczepką, nie prostuje, nie prosi o sprostowanie. Spokój: tempo nie przyspieszyło, głos nie podskoczył, ciało zostało tam, gdzie było. I zostanie przy swoim: wiąż się, czyli wieczór jedzie dalej po swoim torze, bez kary dla niej i bez nagrody za zaczepkę. Lina się napięła i utrzymała. Bez szarpnięcia, bez luzu, bez przemowy. Dlatego ta reakcja otwiera tam, gdzie dwie pozostałe zamykają: tłumaczenie skręca rozmowę w proces sądowy, odwet skręca ją w mecz, a spokojne trzymanie nie dokłada nic, więc rozmowa może płynąć dalej tam, gdzie płynęła. Tylko że obie strony wiedzą już o sobie odrobinę więcej.

I żeby było jasne, czym ta trzecia droga nie jest, bo tu czeka druga pułapka internetu. Pisał ktoś na forum lata temu: „Teraz nie chcę być needy i pytać ciągle o co chodziło, więc nie wiem jak rozegrać dalej...”. Needy, w tamtym słowniku: natrętnie zależny. Ten facet zrozumiał pół lekcji. Zrozumiał, że dopytywanie i panika zamykają. Ale w miejsce paniki wstawił grę w niewzruszonego i teraz pilnuje się, żeby przypadkiem nie zapytać o coś, co naprawdę chce wiedzieć. To nie jest spokój, to jest wstrzymany oddech, i pęka przy pierwszej lepszej okazji, z hukiem, jak każda cisza trzymana siłą woli. Trzecia droga nie polega na tym, że nie wolno ci nic poczuć. Poczuć wolno wszystko, uklucie po zaczepce jest normalne jak zadyszka na ścianie. Chodzi o następną sekundę: czy z tego uklucia robisz przeprosiny, czy pocisk,

czy oddech i swoje zdanie dalej.

Tamtego wieczoru, gdzieś między drogami, Ewa siada obok na materacu i mówi: dobrze, że nie przepraszałeś drugi raz. jedno wystarczyło. I opowiada sama z siebie, że w poniedziałek miała w kabinie dzień, po którym klęła po polsku, bo hiszpański się skończył. Śmieją się z tego oboje.

Czy czwartkowa zaczepka o refleks była sprawdzeniem, czy zwykłym dogryzaniem na zgodę, tego Marek nie wie i wiedzieć nie musi. Wie jedno: zaczepki wróciły. A ludzie nie dogryzają tym, przy których trzeba uważać. Cisza i grzeczność to jest to, co dostajesz, kiedy ktoś przestał próbować.

Narzędzia

Cztery rzeczy do trenowania na ludziach, których i tak spotykasz. Żadna nie wymaga randki.

1. Jeden oddech. Przez tydzień, po każdej niewygodnej uwadze, od kogokolwiek, zanim otworzysz usta: jeden pełny oddech. Nie po to, żeby w tym czasie układać ripostę. Po to, żeby zdążyć zauważyć, co się w tobie napięło i w którą stronę cię ciągnie: do wyjaśniania czy do oddania. Samo zauważenie to połowa roboty, bo obie złe reakcje wygrywają z tobą właśnie w tej pierwszej sekundzie, kiedy jeszcze nie zdążyłeś pomyśleć.

2. Rejestr tłumaczeń. Przez dwa dni zapisuj każdą sytuację, w której wytłumaczyłeś się, choć nikt nie pytał o powód. Spóźniłeś się trzy minuty i wygłosiłeś referat o tramwajach. Kolega uniósł brew, a ty już opowiadasz, czemu bierzesz urlop we wrześniu. Po dwóch dniach zobaczysz skalę i zobaczysz prawdę, która trochę boli: tłumaczenie się rzadko jest odpowiedzią na zarzut. Zarzutów jest w twoim tygodniu dużo mniej niż tłumaczeń.

3. Zdanie dłużej przy swoim. Raz dziennie, kiedy ktoś podważy twój wybór, kurtkę, film, sposób, w jaki coś robisz, zostań przy swoim o jedno spokojne zdanie, bez podnoszenia głosu i bez odbijania. Mnie ta kurtka pasuje. I cisza, bez ale, bez przepraszającego uśmiechu.

Trenujesz mięsień stania w miejscu, w którym stoisz, a on pracuje tak samo przy kumplu, przy matce i przy kobiecie, która ci się podoba.

4. Wieczorna sortownia. Raz dziennie weź jedną niewygodną uwagę, którą dziś dostałeś, i rozłóż ją na dwa pytania: czy dotyczyła konkretnej rzeczy, którą zrobiłem, i czy była powiedziana spokojnie, bez publiczności. Dwa razy tak: uwaga serio, zapisz, co z nią zrobisz jutro. Choć raz nie: odpuść treść i oceń tylko własną reakcję jedną literą. T jak tłumaczenie, O jak oddanie, S jak spokojne trzymanie.

Arkusz 48 godzin

Dwa dni, kartka, długopis.

Dzień pierwszy. Diagnoza. Zbieraj przez dzień każdą niewygodną uwagę, która w ciebie trafiła, i przy każdej postaw literę: T, O albo S. Wieczorem policz litery i dopisz rejestr tłumaczeń z narzędzia drugiego. Jeżeli cały dzień minął bez jednej niewygodnej uwagi, zapisz i to. Może masz dzień jak z obrazka. A może ludzie wokół ciebie dawno przestali mówić ci rzeczy niewygodne, i wtedy jest o czym pomyśleć: co dostawali, kiedy jeszcze mówili.

Dzień drugi. Praktyka. Przynajmniej raz zostań przy swoim o zdanie dłużej i zapisz to zdanie słowo w słowo, razem z tym, co działa się przez następną minutę. Wieczorem sortownia: jedna uwaga rozłożona na dwa pytania. Jeśli wyszła serio, zapisz, co z nią robisz jutro, i zrób to jutro. A jeśli w ciągu dnia wygrałeś jakąś wymianę ciosem, zapisz, ile cię to kosztowało w następnym kwadransie. Tę rubrykę wypełnia się najuczciwiej ze wszystkich, bo koszt nie zdążył się jeszcze rozmyć.

Arkusz jest zaliczony, kiedy masz litery z dwóch dni, rejestr tłumaczeń i jedno zapisane zdanie, przy którym zostałeś. Samo pokiwanie głową nad rozdziałem się nie liczy. Kiwasz już całe lata.

Przewieszka

Dwa tygodnie później, czwartek, początek marca. Chłopak od wypożyczalni butów przychodzi we własnych, kupił w niedzielę,

chwali się jak dzieciak. Ewa staje pod przewieszką, tą samą, która zrzuca ją od stycznia.

Idzie równo do połowy. Tam, gdzie zawsze, ręce zaczynają puszczać. Nie schodzi. Woła: trzymaj. I siada w linę całym ciężarem, wisi, strzepuje ręce, oddycha. Nie patrzy w dół. Nie musi już patrzeć w dół, wie, co tam jest.

Potem wraca na ścianę i przechodzi miejsce, które zrzucało ją przez dwa miesiące. Odpada trzy chwytty dalej, już nad wpinką, wrzeszczy coś po hiszpańsku na całą halę i śmieje się, wisząc pod sufitem, i klnie, i śmieje się jeszcze raz. Marek stoi na dole i trzyma.

Bo tak to działa, na linie i w rozmowie. Nigdy nie masz pewności, które zdanie jest ciężarem próbnym, a które po prostu zdaniem, i nie potrzebujesz tej pewności, bo twoja robota w obu wypadkach zaczyna się tak samo: oddech, spokój, swoje zdanie w rękach. Dopiero potem rozstrzygasz, czy jest czego wysłuchać serio. Ludzie będą ci siadać w linę do końca życia, nowa kobieta, nowy szef, teść nad schabowym, i to nie jest zła wiadomość. Złą wiadomością byłaby cisza. Ewa wisi pod sufitem, klnie w języku, w którym słyszeć tylko ją, i ani przez sekundę nie myśli o linie. Lina się napięła, utrzymała i nic więcej się nie wydarzyło. Dokładnie dlatego wydarzyło się wszystko inne.

Rozdział 6. Luźna struna nie gra



Sobota, początek marca, blok na Woli, trzecie piętro bez windy. Najstarszy z ekipy ze ścianki kończy czterdzieści lat i zaprosił wszystkich do siebie. Kurtki leżą na łóżku w sypialni, na szybach osiada para, ktoś przyniósł sernik z dyskontu i wszyscy zgodnie udają, że jest domowy.

Po dziesiątej solenizant zdejmuję ze ściany gitarę, która wisiała tam całą zimę jako dekoracja. I zanim zagra cokolwiek, stroi. Przy wszystkich, na środku pokoju. Szarpnięcie struny, ucho pochylone nad pudłem, ćwierć obrotu kołka, znowu szarpnięcie. Dźwięk podchodzi wyżej, jeszcze nie ten, jeszcze ćwierć obrotu. Basowa, mówi solenizant, leży jak sznurek do bielizny, wisiała rozstrojona od września. Szarpie ją i faktycznie: struna nie gra, tylko bzyczy, głucho, o progi. Za luźna. A jak kiedyś na studiach naciągnął nową bez słuchania, na jeden zamach, to strzeliła mu koło ucha i ślad na palcu ma do dziś. Więc teraz robi to tak, jak się powinno: napnie trochę, posłucha, dopiero potem kręci dalej.

Nikt się nie niecierpliwi. Nikt nie uważa, że strojenie wypadaloby załatwić w łazience, żeby goście nie widzieli. Strojenie to jawna robota, robi się ją przy ludziach i na tym polega jej przyzwoitość. Zapamiętaj ten ruch, będzie nam potrzebny do końca rozdziału: napnij, posłuchaj, dopiero potem kręć dalej.

Potem solenizant gra. Stare rzeczy, te, które zna każdy, kto był kiedykolwiek na obozie. W którymś momencie ktoś rzuca, że Ewa zna coś po hiszpańsku, sama się kiedyś wygadała. Ewa waha się pół sekundy, potem bierze gitarę, sprawdza dwa chwyt i śpiewa jedną

zwrotkę czegoś wolnego. W pokoju robi się cicho.

Marek siedzi na podłokietniku kanapy i patrzy. Nie tak, jak się patrzy na występ. Tak, że zapomina o kubku z herbatą, który trzyma w ręce. Ewa kończy, oddaje gitarę i przez moment, zanim reszta zacznie klaskać, patrzy prosto na niego. Sekunda. Może dwie. Powietrze między kanapą a gitarą waży w tej chwili więcej niż cały wieczór.

I Marek mówi, głośno, do wszystkich: no dobra, następne urodziny robimy w Hiszpanii, koszty dzielimy na głowę.

Śmiech, ktoś podaje sernik, ktoś woła o kolejną piosenkę. Moment mija. Struna, która przez dwie sekundy była napięta, leży z powrotem luźna.

Później, w kuchni, dziewczyna solenizanta pyta Marka przy zlewie, ściszone, domowym tonem: a wy z Ewą długo jesteście razem? I Marek odpowiada, zanim zdąży pomyśleć: nie, nie, my nie jesteśmy razem. My się po prostu dobrze dogadujemy.

A, przepraszam, mówi dziewczyna. Wyglądaliście. I wychodzi z miską chipsów, a Marek zostaje przy zlewie z gąbką w ręce i z własnym zdaniem w uszach. My się po prostu dobrze dogadujemy. Zdanie jest prawdziwe. I to jest w nim najgorsze. Bo Marek od trzech miesięcy osobiście pilnuje, żeby nic więcej prawdą nie było.

Wycięta ścieżka

Policzmy, co Marek już umie, bo umie dużo. Rozmawia tak, że ludzie zostają na następny tramwaj. Przenosi ciężar między żartem a powagą, zamiast stać na jednej nodze. Nie recytuje cudzych zdań. Pyta z patrzenia, nie z listy. Jego rozmowy z Ewą to jest komplet wszystkiego, o czym była ta książka do tej pory, i te rozmowy są naprawdę dobre.

Jest w nich tylko jedna wycięta ścieżka. Jedna informacja, którą Marek usuwa tak sprawnie, że sam już tego nie zauważa: że po drugiej stronie stołu siedzi kobieta, która mu się podoba. On to wie od grudnia. Wie to w hali, wie w pierogarni, wiedział w sobotę, kiedy zapominał o kubku. I raz na jakiś czas nawet to mówi, powiedział przy

barierce lodowiska, poprosił o to zdanie po hiszpańsku. A potem, jakby przestraszony, że powiedział, przez następne tygodnie nadaje program kolegi: rozmowy świetne, żarty celne, bliskość prawdziwa, wycięta tylko ta jedna ścieżka. Jedno jawne zdanie na miesiąc, a między jednym a drugim trzydzieści godzin kolegowania, które tamto zdanie po cichu odszczekuje.

Rozmowa z wyciętą ścieżką nie jest zepsuta. Jest kompletna, tylko jako coś innego: jako rozmowa koleżeńska. Bo relacja koleżeńska to nie jest kara, która spada na porządnym facetów z niewiadomego powodu. To jest rachunek wystawiony dokładnie za to, co zamówiłeś. Nadawałeś program kolegi, odebrano program kolegi. W tym rozliczeniu nie ma żadnej niesprawiedliwości i to jest w nim najbardziej bolesne.

W tomie pierwszym rozbieraliśmy wstyd za samo pragnienie: to stare przekonanie, że chcieć nie wolno, że chcenie trzeba trzymać w piwnicy. Marek to przerobił. On się już nie wstydzi, że chce. U niego działa nowszy strach, taki z lepszym uzasadnieniem: on ma coś do stracenia. Te czwartki, te pierogi, ten śmiech znad kubka to najlepsza rzecz, jaka mu się przytrafiła od lat, i napięcie wygląda przy tym jak ryzyko. Jedno zdanie za dużo i wszystko pięknie, myśli Marek, więc trzyma strunę luźno. Pisał ktoś na forum lata temu, dokładnie z tego miejsca: „Teraz ,czy to jej nie przestraszy i nie poczuje się niezręcznie.” I ktoś inny, to samo od podszewki: „Boję się że w swoich oczach jak i w oczach tej kobiety stracę całą swoją atrakcyjność.” Obaj trzymali luźno z tego samego powodu co Marek. Ostrożność wygląda tu na rozsądek.

Tylko że luźna struna nie gra. Nie gra fałszywie, nie gra cicho. Nie gra wcale, bzyczy o progi. Kto nie napina, bo boi się, że strzeli, ten nie wybiera bezpieczeństwa. Wybiera przegraną powolną zamiast ryzyka szybkiej: każdy kolejny wieczór nadany na programie kolegi utrwala rejestr, w którym te rozmowy się odbywają. Co z tym rejestrem zrobi ona, tego nie wiesz i nie zgaduj. Ale ty swoją część robisz codziennie i twoja część jest policzalna: ile razy w tym tygodniu dałeś po sobie

poznać, przy niej, na głos albo wzrokiem, że to nie jest rozmowa dwóch kolegów. Jeśli zero, to nie masz pecha. Masz politykę.

Trzy rzeczy, które widać

Napięcie w rozmowie nie jest techniką, którą się dokłada. Jest tym, co zostaje w powietrzu, kiedy przestajesz wycinać. Nie musisz niczego produkować, wystarczy nie kasować tego, co i tak się w tobie dzieje. A to, co zostaje, widać w trzech miejscach.

Pierwsze: spojrzenie, które nie ucieka. Patrzysz na nią, bo ci się podoba, i ona to spojrzenie łapie. Stary odruch każe odskoczyć wzrokiem jak przyłapany na czymś wstydlwym, i ten odruch nadaje komunikat wstydu, nie pragnienia. Nowy ruch jest mały: zostań sekundę dłużej, spokojnie, a potem zejdź wzrokiem w bok, nie w podłogę. Sekundę, nie pięć. Różnica między patrzeniem a wpatrywaniem się jest prosta do nazwania: patrzenie ma początek i koniec, o których sam decydujesz, wpatrywanie nie ma końca i czeka na nagrodę. Patrzenie mówi jedno spokojne zdanie: patrzę, bo mi się podoba, i nie mam nic do ukrycia. Wpatrywanie domaga się odpowiedzi i już przy nim jesteśmy o krok od nachalności, do której wrócimy za chwilę.

Drugie: komentarz, który nazywa rzecz po imieniu. Zdanie w pierwszej osobie, o tu i teraz. Dobrze mi się na ciebie patrzy. Ładnie dziś wyglądasz. Lubię, jak się śmiejesz. Test jest jeden i zawsze ten sam: czy z tego zdania istnieje tylne wyjście. Aluzja to zdanie z furtką, mówisz tak, żeby w razie czego móc udać, że nic nie powiedziałeś. Dwuznacznik idzie dalej: przerzuca robotę na nią, niech sama dopowie, co miałeś na myśli, a ty poczekasz z boku, czy dopowie po twojej myśli. Tego w tej książce nie robimy, i nie dlatego, że nie działa. Nie robimy tego, bo to jest ukrywanie: całe ryzyko po jej stronie, cała możliwość zaprzeczenia po twojej. Jawne zdanie nie ma furtki. Da się na nie odpowiedzieć, przyjąć je albo zgasić, i właśnie dlatego jest uczciwe.

Stare szkoły uczą w tym miejscu jeszcze jednej sztuczki: powiedz jej żartem, że to ona cię uwodzi, że to ona nie może przestać na ciebie patrzeć. Nazwijmy to po imieniu, bo warto wiedzieć, co się odrzuca: to jest mówienie o własnym pragnieniu tak, żeby w razie odmowy nie było twoje. Podpisujesz cudzym nazwiskiem list, którego boisz się wysłać od siebie. Bywa zabawne, czasem nawet rozładowuje powietrze, ale komunikat pod spodem jest dokładnie ten sam co przy uciekającym wzroku: chcę i nie biorę za to odpowiedzialności. My mówimy w pierwszej osobie. Podoba mi się. Moje zdanie, mój podpis, moja gotowość na każdą odpowiedź.

Trzecie: pauza, której się nie zapycha. Po jawnym zdaniu przychodzi cisza i ta cisza jest częścią zdania, nie awarią po nim. To jest miejsce, w którym jej odpowiedź może w ogóle zaistnieć. Kto zapycha ciszę żartem w pierwszej sekundzie, ten odwołuje własne zdanie i odpowiada za nią, zanim zdążyła otworzyć usta. Marek zrobił to w sobotę co do sekundy: dwie sekundy napięcia po piosence i natychmiast Hiszpania z kosztami na głowę. Zdanie było nawet dobre. Padło tylko w miejscu, w którym miała stać cisza. I jeszcze jedno, drobne: jawne zdania mówi się wolniej niż resztę. Nie dla efektu. Po prostu prawda nie musi się spieszyć, spieszy się to, co chce przemknąć niezauważone.

I zastrzeżenie, zanim pójdziemy dalej, bo znasz je z rozdziału o trzech stanach: napięcie to nie jest miejsce do zamieszkania. Kto ścisza cały wieczór, robi z rozmowy przesłuchanie. Jedno zdanie, cisza, odpowiedź, powrót do zwykłej rozmowy. Szczypta soli, nie zupa z soli.

Przeciągnięta struna

Zjedźmy do Poznania, do Kamila. Kamil ma dwadzieścia cztery lata, swoją najgorszą lekcję ma już za sobą, umie zapytać wprost i umie przyjąć odmowę, kosztowało go to kiedyś siedem wiadomości wysłanych do Weroniki i jedną rozmowę, której wolałby nie pamiętać. Kamil czyta, słucha, notuje i wdraża wszystko z zapalem człowieka,

który niedawno odkrył, że w ogóle da się inaczej. Ostatnio doczytał o napięciu.

Karolina jest z jego roku, robią razem projekt zaliczeniowy, dogadują się dobrze i Kamilowi podoba się od października. W piątek jest domówka u kogoś z roku i Kamil postanawia, że dziś będzie napięcie.

Więc jest. Od wejścia. Kamil ścisza głos przy każdym zdaniu, jakby wszystko, co mówi, było tajne. Patrzy jej w oczy i nie puszcza, jak na egzaminie z patrzenia. Robi pauzy w miejscach, w których nic się nie waży, i trzyma je tak długo, aż same robią się ciężkie. Co trzecie zdanie jest o niej: że ma coś w oczach, że ten kolor na niej, że ona chyba dobrze wie, jak działa na ludzi. Każde z tych zdań osobno mogłoby ująć. Razem, upchnięte w czterdzieści minut, zamieniają kąt kuchni w pomieszczenie bez okien. Karolina odpowiada coraz krócej. Obraca się do reszty towarzystwa. W końcu mówi, że idzie po coś do picia, i nie wraca. Resztę wieczoru spędza po drugiej stronie pokoju, co widać wyraźnie, bo pokój ma cztery na cztery.

W niedzielę Kamil dzwoni do Marka, bo tak się w stadzie umówili jeszcze latem: relacja z frontu, bez retuszu. Opowiada wszystko, ze szczegółami, chwilami z dumą, bo przecież robił dokładnie to, co wyczytał. Marek słucha do końca. Potem zadaje jedno pytanie, to samo, które kiedyś dostał od Maćka, tylko przykrojone na tę wojnę: a ile razy zrobiłeś miejsce na jej odpowiedź?

W słuchawce robi się cicho.

No właśnie, mówi Marek. Byłem tydzień temu na urodzinach, gość stroił gitarę przy wszystkich. Napnie trochę i słucha. Napnie i słucha. Ty kręciłeś kołkiem cały wieczór i ani razu nie szarpnąłeś struny, żeby usłyszeć, co gra. To musiało strzelić.

I tu przebiega cała granica między napięciem a nachalnością, da się ją narysować jednym ruchem. Napięcie mówi jedno zdanie i robi miejsce. Nachalność mówi dziesięć i miejsce zajmuje. Napięcie mówi o mnie: dobrze mi się na ciebie patrzy. Nachalność mówi o niej i domaga się potwierdzenia: ty dobrze wiesz, jak działasz. Napięcie

przyjmuje każdą odpowiedź, ze zgaszeniem i z milczeniem włącznie. Nachalność uznaje tylko jedną i po każdej innej dociska. Test masz zawsze pod ręką: po twoim zdaniu ona ma więcej swobody czy mniej? Więcej, znaczy powiedziałeś jawnie i zostawiłeś jej wybór. Mniej, znaczy naciskasz, obojętnie jak ładnie to opakowałeś.

Kamil, trzeba mu oddać, wnioski wyciąga szybko. Dwa tygodnie później siedzą z Karoliną po zajęciach nad projektem, normalna robota, terminy, poprawki. I Kamil mówi, zwyczajnym głosem, takim samym, jakim mówi się o terminie oddania: słuchaj, jedna rzecz, bo mi głupio za tamtą domówkę. Podobasz mi się. Stąd był ten teatr, to ściszenie głosu i te pauzy jak na pogrzebie. Przepraszam za formę. Za treść nie przepraszam, bo treść jest aktualna.

I cisza. Trwa dobre trzy sekundy i każda jest długa jak zima. Kamil jej nie zapycha.

Karolina uśmiecha się. Wolę tę wersję, mówi. Tamta była nie do wytrzymania. Chwilę obraca długopis w palcach. Ale ja się z kimś widuję. Od stycznia.

Jasne, mówi Kamil. Dobrze wiedzieć. To wracamy, bo oddanie w czwartek.

I wracają. Projekt oddają w terminie, rozmawia im się jak wcześniej, może nawet łżej. A tydzień później Karolina pyta go po zajęciach, czy idzie w sobotę na kręgle, bo ekipa z roku się zbiera. Nie ma w tym żadnej obietnicy i Kamil o tym wie. Jest w tym coś innego, cenniejszego na dziś: drzwi, które się nie zamknęły. Facet, który powiedział wprost i przyjął odpowiedź, dalej jest facetem, z którym chce się siedzieć przy jednym stole. Ta granica jest do przejścia w obie strony i Kamil właśnie wrócił na właściwą.

Zgaszone też jest odpowiedzią

W tomie pierwszym ustawiliśmy protokół na usłyszane nie: jedno zdanie, zero dogrywki, życie toczy się dalej. Ten protokół dalej obowiązuje. Tylko że w rozmowie odmowa rzadko pada słowem. Pada bokiem: żart w odpowiedzi na twoje wolniejsze zdanie. Wzrok, który

schodzi do telefonu. Pół kroku w tył, temat zmieniony szybciej, niż wymagała rozmowa. To wszystko są odpowiedzi. Pełnoprawne, czytelne, wypowiedziane ciałem zamiast słowami, i przyjmuje się je dokładnie tak samo jak wypowiedziane nie, tylko bez celebry: wracasz do stanu, w którym było wam dobrze, do zabawy, do zwykłej rozmowy, i nie ponawiasz tego wieczoru. Bez dochodzenia, bez pytania, czy coś się stało. Nic się nie stało. Padła odpowiedź.

I nie karzesz. To jest miejsce, w którym wyklada się najwięcej facetów przekonanych, że odmowę przyjęli. Nie nacisnął, nie dopytał, wszystko zrobił jak w książce, tylko od tamtej chwili jest o dwa stopnie chłodniejszy i odpisuje o połowę krócej. Obrażona cisza to nachalność grana od tyłu: niby nie naciskam, ale poczujesz koszty swojej odpowiedzi. Komunikat jest ten sam, zmienił się tylko kanał. Przyjęcie odmowy poznaje się po jednym: pięć minut później rozmowa jest znowu dobra i nie jest to teatr wystawiany na pokaz, żeby zasłużyć na zmianę zdania.

Co zgaszenie znaczy na dłuższą metę, nie wiesz. Może nie teraz, może nie ty, może zły dzień, może ktoś, o kim nie masz pojęcia. Nie zgadujesz, bo zgadywanie to jest to samo bagno, z którego wyszedłeś w tomie pierwszym. Wiesz jedno: dziś, tutaj, odpowiedź brzmiała nie. I to ci wystarcza, żeby wiedzieć, co robić dziś.

Na koniec tej części jedno postawmy twardo, żeby nie było niedomówień: jawność nie jest sposobem na wynik. Nie ma tu obietnicy, że jak będziesz patrzył sekundę dłużej i mówił wprost, to ona odpowie tak, jak chcesz. Nikt ci tego nie obieca, bo nikt tego nie wie. Jawność załatwia jedną jedyną rzecz: informacja leży na stole i odpowiedź, jaka padnie, będzie odpowiedzią na prawdę, a nie na program kolegi. Tyle. Aż tyle.

Narzędzia

Cztery. Wszystkie do trenowania w życiu, które już masz, bez ani jednej randki.

1. Sekunda dłużej. W zwykłych rozmowach, z kimkolwiek: kiedy przychodzi moment, w którym odruch każe uciec wzrokiem, zostać sekundę dłużej i zejść spokojnie w bok, nie w podłogę. Z kolegą przy kawie, z szefową na spotkaniu, z panią w przychodni. Nie chodzi o hipnotyzowanie nikogo, chodzi o skasowanie odruchu przyłapanego, który nosisz od podstawówki. Wzrok, który nie ucieka, to fundament całej reszty: trudno mówić wprost, patrząc w stół.

2. Jedna cisza dziennie. Raz dziennie, kiedy w rozmowie zapadnie cisza, nie ratuj jej. Policz w głowie do trzech, zanim się odezwiesz, i patrz, co się dzieje: kto ją przerwie, czym, czy w ogóle trzeba było ją przerywać. Uczysz się w ten sposób, że cisza to nie awaria linii. To miejsce, z którego robi się cudza odpowiedź, i póki zapychasz każdą, nie usłyszysz żadnej.

3. Zdanie bez furtki. Raz dziennie powiedz na głos jedno zdanie w pierwszej osobie o tym, co ci się naprawdę podoba, tu i teraz, bez żartu po nim i bez pytania doklejonego na końcu. Mięsień jest ogólny, trenujesz go na wszystkim: koledze po wspinaniu, że dobrze przeszedł tę drogę i patrzyłeś z zazdrością. A kobiecie, która ci się podoba, o niej: ładnie dziś wyglądasz. Kropka. Wieczorem test furtki: czy dałoby się udać, że tego nie powiedziałeś? Jeśli tak, to była aluzja i się nie liczy.

4. Rachunek koleżeństwa. Po każdej rozmowie z kobietą, która ci się podoba, jedno pytanie i jedna kreska na kartce: czy padło z twojej strony choć jedno zdanie, którego nie powiedziałabyś koledze z działu? Tak albo nie, bez półpunktów. Po dwóch tygodniach spójrz na kartkę. Dwa tygodnie samych nie to nie jest pech ani czekanie na właściwy moment. To polityka, i teraz przynajmniej widzisz ją czarno na białym.

Arkusz 48 godzin

Dwa dni, kartka, długopis, jak zawsze.

Dzień pierwszy. Diagnoza. Cały dzień prowadzisz sekundę dłużej, w każdej rozmowie. Równolegle licz cisze, które zapchałeś w

pierwszej sekundzie, wieczorem zapisz liczbę. Potem rachunek wstecz: przypomnij sobie trzy ostatnie rozmowy z kobietą, która ci się podoba, i wypisz zdania, których kolega by od ciebie nie usłyszał. Jeśli kartka zostaje pusta, to jest twój stan wyjściowy i on ma nazwę: program kolegi, nadawany całą dobę. Jeśli takiej kobiety w twoim życiu teraz nie ma, wypisz zamiast tego trzy zdania bez furtki, które w ogóle umiałbyś powiedzieć, słowo w słowo. Sama ta lista pokaże ci, czy masz je w słowniku, czy dopiero je składasz.

Dzień drugi. Wykonanie. Jedna cisza zostawiona do końca, z kimkolwiek. I jedno zdanie bez furtki powiedziane na głos: jeśli jest komu, to kobiecie, która ci się podoba, o niej, przy niej, nie w wiadomości. Jeśli nie ma, wersja minimalna: to samo zdanie w pierwszej osobie o czymkolwiek prawdziwym, powiedziane komukolwiek, z ciszą po nim zamiast żartu. Wieczorem zapis: zdanie słowo w słowo, co było widać przez następną minutę i czy dokleiłeś żart ratunkowy. A jeśli zgasła, dopisz osobną rubrykę, najważniejszą w całym arkuszu: co zrobiłeś przez następne pięć minut. Wróciłeś do rozmowy czy wystawiłeś rachunek chłodem. Sama prawda, nikt tego nie przeczyta poza tobą.

Zaliczone, kiedy masz liczbę zapchanych cisz, rachunek wstecz i jedno zdanie z zapisaną minutą po nim. Przeczytanie rozdziału zaliczeniem nie jest, czytać umiesz od dawna.

Przedwiośnie

Czwartek po ścianie, połowa marca. Marek odprowadza Ewę przez park Żeromskiego, bo im po drodze, jak co tydzień, i jak co tydzień nikt nie sprawdza, czy na pewno. Powietrze pierwszy raz od miesiący pachnie ziemią, nie zimą.

Ewa opowiada o wtorkowej konferencji, o prelegencie, który mówił czterdzieści minut bez jednej kropki, i o tym, jak z Kaśką ciągnęły w kabinie losy, która go przejmuję. Śmieją się oboje. Potem rozmowa sama z siebie schodzi niżej, wolniej, a przy wyjściu z parku robi się cisza.

Stary Marek zapchałby ją w pierwszej sekundzie, ma w kieszeni co najmniej trzy gotowe żarty. Ten Marek idzie i milczy. Cisza trwa i nie jest dziurą, którą trzeba zasypać.

Na rogu jej ulicy Ewa zatrzymuje się i patrzy na niego. Marek nie ucieka wzrokiem. Sekundę dłużej, niż stary odruch by pozwolił, i jeszcze jedną. Potem mówi, wolno:

Wiesz, co sobie uświadomiłem na tych urodzinach? Jak śpiewałaś, patrzyłem na ciebie tak, że zapomniałem, że trzymam kubek. A jak skończyłaś, powiedziałem coś o dzieleniu kosztów na głowę. I tak robię od grudnia. Raz na miesiąc mówię ci prawdę, a potem przez trzy tygodnie odszczekuję ją kolegowaniem.

Pauza. Nie zapycha jej.

Podobasz mi się. Nie tak, jak się lubi kogoś z ekipy. Tak, jak facetowi podoba się kobieta. Przestaję to wycinać.

I cisza. Prawdziwa, długa, marcowa. Marek stoi w niej i jej nie łąta.

Ewa patrzy na niego długo. Potem robi pół kroku, poprawia mu kołnierz kurtki, tak jak się nie poprawia kolegom, i mówi: wiem. Widziałam, jak patrzysz. I widziałam, jak potem zamiatasz. Zastanawiałam się, ile ci to jeszcze zajmie.

Idą ostatni kawałek do jej bramy wolniej, niż trzeba, i żadne nie udaje, że nie wie dlaczego. Przy bramie Ewa mówi: do czwartku. A już w drzwiach, przez ramię; i nie odszczekuj tym razem.

Marek wraca przez park sam. W kieszeni telefon jeszcze ciepły od trzymania, nie sprawdza go do samego domu. Na klatce mija sąsiada, który pyta, czy na dworze pada. Nie pada, mówi Marek. W mieszkaniu zdejmuje kurtkę, stawia czajnik na gazie i siada przy stole, nie zapalając światła. Siedzi tak, dopóki czajnik nie zagwiżdże.

Rozdział 7. Jeden pomiar to nie wynik



Środa, początek kwietnia, stacja paliw przy Kasprzaka, ta z automatem do pompowania kół tuż przy myjni. Marek zjechał tam po drodze do pracy, bo w niedzielę na desce rozdzielczej zapaliła się kontrolka ciśnienia w oponach, w poniedziałek zgasła, a we wtorek wróciła, a trzecie ostrzeżenie z rzędu to już nie sugestia, tylko odliczanie. Spóźniony, prosto z korka na obwodnicy, zdążył jeszcze kupić kawę z automatu przy kasie, bo stała maszyna, a on stał obok.

Mechanik podłącza manometr do przedniego koła, patrzy na wskazanie dłużej, niż Marek by chciał. Dwa i siedem. Trzeba poczekać z kwadrans, mówi, guma grzeje się od jazdy tak samo jak od słońca, a pan przyjechał prosto z trasy. Marek czeka, gapi się w cennik opon powieszony przy kasie, pije kawę. Drugi pomiar, to samo koło: dwa i cztery.

Które jest prawdziwe, pyta Marek. To niższe?

Żadne, mówi mechanik. To nie były wyniki, to były okoliczności. Za pierwszym razem zmierzylśmy panu gorącą gumę po trasie. Za drugim, jak trochę ostygła, ale dalej nie tyle, co po nocy w garażu. Wynik to jest co innego. I podaje mu kartkę z wydrukowaną tabelką: dwa tygodnie, pomiar co rano, zanim pan wyjedzie z garażu, na zimnym kole. Proszę zapisywać wszystkie odczyty, dodaje. Wszystkie, nie te, które panu pasują. Ludzie mają skłonność notować to, co potwierdza wersję, na którą się już zdecydowali.

U mnie w pracy nazywa się to czyszczeniem danych pod tezę, mówi Marek.

U nas nazywa się to oszukiwaniem samego siebie, mówi mechanik. Skutki te same, tylko u nas szybciej widać, bo koło się w końcu przebiję. Pojedynczy pomiar służy do dwóch rzeczy: do wszczynania paniki albo do jej uciszania, zależnie od tego, czego pan akurat potrzebuje. Do wykrycia powolnego przebicia służy wzór.

Marek mierzy przez dwa tygodnie, co rano przed wyjazdem z garażu, na zimnym kole. Tabelka wychodzi nudna: dwa i trzy, dzień za dniem. Jest w niej jeden czwartek z dwa i jeden, po nocy, kiedy temperatura spadła poniżej zera, i w pojedynkę ten czwartek wyglądałby jak przebicie. W serii nie znaczy nic. Jest okolicznością między trzynastoma zwykłymi porankami.

Zapamiętaj tę tabelkę, będzie nam potrzebna do końca rozdziału. Dwie zasady z tej stacji: jeden pomiar to okoliczność, wzór to wynik. I druga, cichsza: mierzy się po to, żeby wynik przyjąć. Nie po to, żeby mierzyć tak długo, aż wyjdzie ten, na który się czekało.

Sześć rozdziałów uczyłeś się nadawać: rozmawiać, przechodzić między stanami, pytać, mówić wprost. Ten rozdział jest o odbiorze. O tym, jak sprawdzić, na czym stoisz, i co zrobić, kiedy już wiesz. Bo facet, który przez lata nie wiedział, na czym stoi, popada w jedną z dwóch skrajności. Pierwsza: nie widzi nic. Dostaje wiadomość, ogląda ją z każdej strony i wieczorem rozsyła kolegom zrzuty ekranu z pytaniem, co ona miała na myśli, jakby koledzy mieli dostęp do czyjejś głowy przez aplikację. Druga skrajność: widzi wszystko. Jeden lajk starcza mu na trzy miesiące, jedno dobranoc analizuje jak testament. Obie skrajności robią dokładnie to samo: czytają z fusów zamiast sprawdzić. Różni je tylko to, kto te fusy interpretuje. Pierwszy oddaje interpretację kolegom, którzy wiedzą o tej kobiecie mniej niż on i orzekają pewniej niż ktokolwiek powinien. Drugi interpretuje sam i zawsze na swoją korzyść, bo sędzia i skazany to u niego ta sama osoba. Żaden z nich nie zrobił rzeczy najprostszej: nie sprawdził.

Uprzejmość to nie jest sygnał

Zacznijmy od rozczarowania, bo od niego trzeba: większość rzeczy, które bierzesz za sygnały, to uprzejmość. Śmieje się z twoich żartów. Śmieje się też z żartów kuriera. Odpisuje ciepło, bo tak odpisuje wszystkim, z mamą i z operatorem komórkowym włącznie. Mówi, że miło się gadało, bo się miło gadało, a miło gada się z wieloma ludźmi. Serdeczność bywa czymś ustawieniem domyślnym i cała ekipa znajomych potrafi latami brać serdeczność jednej dziewczyny za coś adresowanego, każdy z osobna do siebie.

Różnica jest prosta do nazwania i trudna do przyjęcia: uprzejmość jest dla wszystkich, sygnał jest dla ciebie. I nie poznasz go po treści gestu. Poznasz go po odstępstwie. Píše pierwsza, choć nic jej nie zmusza. Pamięta rzecz, którą rzuciłeś jednym zdaniem trzy tygodnie temu. Pyta o ciebie, zamiast tylko odpowiadać na pytania. Przekłada coś w swoim tygodniu, żeby coś z tobą się zmieściło. Żaden z tych gestów nie jest wielki. Wielkie jest to, że odstaje od tego, jak ona działa z resztą świata.

Działa to też w drugą stronę, mniej oczywistą: czasem odstępstwem jest wycofanie. Dziewczyna, która ze wszystkimi jest głośna i szybka, przy tobie płacze zdania i przegląda ciszę. Może to onieśmienie. A może zwykła niechęć. Z jednego wieczoru tego nie rozstrzygniesz i nie próbuj: co ona czuje, nie wiesz i wiedzieć nie możesz, widzisz tylko tyle, że przy tobie jest inaczej niż przy innych. To jest cała wiedza, jaką daje patrzenie. Różnicę widać. Powodu nie.

Pisał ktoś na forum lata temu: „Dziwi mnie fakt że ciągnie naszą znajomość a ja nie wiem jak wyjść z tego stanu.” Przeczytaj to zdanie dwa razy, bo w nim jest cały dramat czytania z fusów: ona podtrzymuje, on nie wie. Znajomość, która się ciągnie, to nie jest sygnał. To jest brak danych. Uprzejmy dystans potrafi ciągnąć się latami, bo osoby, która go utrzymuje, nie kosztuje nic. Koszt ponosi ten, kto w nim czeka.

Wzór, nie gest

Zjedźmy do Poznania. W styczniu kolega Kamila z sali prób grał koncert w klubie na Jeźyczach i po koncercie Kamil pół wieczoru przegadał z Anią, koleżanką czyjejś koleżanki, studiuje pedagogikę, dorabia w kawiarni. Rozmowa była prawdziwa, z tych, po których człowiek wraca do domu przytomniejszy, niż wyszedł. Wymienili się numerami i to była, jak dotąd, najlepsza część tej historii.

Od tamtej pory piszą. To znaczy: pisze Kamil. Ania odpisuje. Miło, z opóźnieniem, coraz krócej. W lutym, o dwudziestej trzeciej czterdzieści, polubiła jego zdjęcie z sali prób i Kamil obejrzał to serduszko ze wszystkich stron jak próbkę w laboratorium. O tej godzinie, czyli przed snem. Czyli myślała o nim przed snem. Na tym jednym lajku zbudował konstrukcję, która stoi do dziś: ona coś czuje, tylko coś ją hamuje, trzeba dać jej czas i nie spłoszyć. Dwa razy napisał, że kiedyś muszą się w końcu spotkać. Dwa razy odpisała: no pewnie, dam znać. Nie dała znać ani razu.

Ten mechanizm ma na forum tysiące braci. Pisał ktoś, dokładnie w trzecim miesiącu takiego czekania: „otóż mam problem, bo HB do której chce startować od prawie trzech miesięcy jest zakochana w swoim byłym...” Facet wiedział, na czym stoi, miał to napisane własną ręką w pierwszym zdaniu. I pisał dalej, do niej i o niej, bo wiedza nie chroni przed nadzieją. Nadzieja przerabia każdy fakt na swoją korzyść, po to się ją przecież hoduje.

Dlatego analiza pojedynczych gestów zawsze kończy się tym samym wynikiem. Analizuje ten, komu zależy, a kto szuka w danych potwierdzenia, znajdzie je w każdym danych. Serduszko o dwudziestej trzeciej czterdzieści może znaczyć, że ktoś myślał o tobie przed snem. Może też znaczyć, że przewijał telefon i kciuk spadł tam, gdzie spadł. Z jednego gestu tego nie rozstrzygniesz, tak jak mechanik nie rozstrzygnie niczego z jednego pomiaru gorącej gumy po trasie. Rozstrzyga wzór: kilka tygodni, kilka nudnych rubryk, zero poezji. Kto inicjuje. Czy w jej odpowiedziach jest jakiekolwiek pytanie. Czy cokolwiek, kiedykolwiek, wyszło od niej. U Kamila ten wzór był czytelny od połowy lutego: sześćdziesiąt kilka wiadomości od niego,

odpowiedzi uprzejme i coraz krótsze, bez jednego pytania, zero propozycji z jej strony. I jedno serduszko, na którym wisiało wszystko.

W niedzielę Kamil dzwoni do Marka, relacja z frontu, jak się umówili. Opowiada o Ani długo i z detalami, bo detali ma na trzy miesiące. Marek słucha do końca. Potem pyta o jedno: ile razy przez te trzy miesiące ona zaproponowała coś sama? Cokolwiek. Spotkanie, telefon, cokolwiek, co wyszło od niej, nie od ciebie.

Cisza w słuchawce. Kamil zna już ten rodzaj ciszy z zimy, tylko tamta była o czym innym.

No właśnie, mówi Marek. Byłem w zeszłym tygodniu na stacji, bo paliła mi się kontrolka ciśnienia w oponach, i mechanik powiedział mi rzecz, którą ci oddam za darmo. Jeden pomiar to okoliczność, wzór to wynik. Ty trzymasz w ręku jeden odczyt z lutego i leczysz się nim trzeci miesiąc.

Zaproszenie z konkretem

A teraz dobra wiadomość, może najlepsza w tym rozdziale: nie musisz być dobry w czytaniu. Zamiast zgadywać, co znaczą gesty, możesz położyć na stole coś, na co trzeba odpowiedzieć. To coś nazywa się zaproszeniem z konkretem: dzień, godzina, miejsce i jasność, że we dwoje. W piątek o dziewiętnastej, ta wystawa, o której mówiłaś, chcę tam iść z tobą. Nie: może byśmy kiedyś. Nie: odezwę się, coś wymyślimy. Kiedyś i coś to nie są zaproszenia. To są odgłosy.

Na zaproszenie z konkretem istnieją trzy odpowiedzi i każda jest informacją. Pierwsza: tak. Druga: nie mogę, ale kontrpropozycja. Ta druga bywa cenniejsza od pierwszej, bo żeby powiedzieć w piątek nie dam rady, a w niedzielę, trzeba chcieć, żeby do spotkania doszło. Uprzejmość tak nie odpowiada. Uprzejmość mówi: szkoda, może innym razem, i na tym kończy swoją pracę. Trzecia odpowiedź to mgła: super pomysł, dam znać, zobaczę, jak mi wyjdzie tydzień. Mgła nie jest odmową wypowiedzianą na głos i właśnie dlatego jest taka trwała: da się w niej mieszkać miesiącami.

I zastrzeżenie, żeby nie przegiąć w drugą stronę: jedno nie mogę bez kontrpropozycji nie znaczy nic. Ludzie mają dyżury, zawalone tygodnie, urodziny mamy i prawo nie mieć siły. Jedna mgła to okoliczność. Mgła za każdym razem to wynik. Znowu ta sama tabelka.

Jeszcze jedno, zanim z tym pójdziesz do ludzi: to nie jest sztuczka. Stare szkoły uczyły sprawdzania ukradkiem: zaproponuj zmianę miejsca i obserwuj jak badacz zza szyby, rzuć coś niby od niechcenia i licz reakcje, testuj, nie zdradzając, że testujesz. Cała ta maszyneria ma jedną wadę i jest to wada moralna, nie techniczna: ukrywa przed nią, że coś się rozstrzyga, więc ona odpowiada na rozmowę, a ty odczytujesz wyrok. Zaproszenie z konkretem działa dlatego, że jest jawne. Ona wie, że została zaproszona. Ty wiesz, co odpowiedziała. Nikt niczego nie musi rozszyfrowywać i to jest cała różnica między sprawdzeniem a testowaniem.

Marek i Ewa. Od rozmowy w parku minęły trzy tygodnie i na zewnątrz nie zmieniło się nic: czwartki, ścianka, odprowadzanie przez park Żeromskiego. Struna, którą napiął tamtego wieczoru, dalej jest napięta, ale napięta struna sama z siebie nie zagra, ktoś musi zacząć grać. A Marek łapie się wieczorami na starym zajęciu: czyta. Powiedziała, nie odszczekuj. Poprawiła kołnierz. Co to właściwie znaczy, dokąd to idzie, czy ona czeka na ruch, czy go robi. W któryś wieczór orientuje się, co robi: zgaduje. Zgaduje, mając w kieszeni sposób, żeby nie zgadywać.

W czwartek, w szatni po ściance, kiedy Ewa upycha buty do plecaka, Marek mówi zwyczajnie, tym samym głosem, którym mówi się o godzinie zbiórki: w sobotę wieczorem chcę cię zabrać na kolację. Nie po ściance, nie z ekipą. My dwoje, dziewiętnasta, ta gruzińska na Mickiewicza.

Ewa zapina plecak. W sobotę jestem u mamy, mówi. Urodziny, całe rodzinne popołudnie. Sekunda. A w piątek? W piątek gruzińska działa tak samo.

Cztery sekundy. Marek przez trzy miesiące zimy nie dowiedział się o tym, na czym stoi, tyle, ile z tych czterech sekund. Nie dlatego, że

Ewa powiedziała coś czułego, bo nie powiedziała. Dlatego, że jej kalendarz przy nim popracował: dostała konkret, nie mogła, oddała konkret. Kontrpropozycji nie trzeba interpretować. Ona się sama podpisuje.

Kiedy odpuścić

Teraz część, dla której powstał ten rozdział. Będzie ci się jej nie chciało czytać w żadnej wersji, więc przeczytaj chociaż tę.

Nikt ci tego nie powie, bo na tym się nie zarabia. Branża, która żyje z uczenia facetów rozmów z kobietami, żyje tak naprawdę z jednego: z klienta, który nie odpuszcza. Facet, który przyjął odpowiedź i poszedł do domu, kupił jeden kurs. Facet, który nie przyjmuje, kupi pięć: o odzyskiwaniu uwagi, o ponownym rozpalaniu, o pisaniu po ciszy. Dlatego te szkoły mają całe rozdziały o walczeniu dalej i żadna nie ma rozdziału, który właśnie czytasz.

Brak odpowiedzi jest odpowiedzią. Uprzejmy dystans jest odpowiedzią. Dam znać, po którym nikt nigdy nie daje znać, jest odpowiedzią. Dwa zaproszenia z konkretem rozpuszczone w mgłę to nie jest zagadka do rozwiązania, to jest zagadka rozwiązana. Człowiek, któremu na spotkaniu zależy, zostawia w kilkutygodniowym wzorze ślady: podejmuje, dopytuje, oddaje konkret, czasem po prostu przychodzi. Kiedy w całych tygodniach nie ma ani jednego śladu, to nie dlatego, że wszystkie akurat się schowały.

Policz teraz za Kamila, co kosztują trzy miesiące nieprzyjmowania tego do wiadomości. Wiadomości układane po dwadzieścia minut, żeby wyglądały na pisane w pół. Telefon sprawdzany rano, zanim jeszcze zdjął z siebie kołdrę. Wieczory z kolegą nad interpretacją jednego serduszka. Kilkadziesiąt godzin życia oddanych osobie, która o tym nie wie i o to nie prosiła. Bo powiedzmy to uczciwie: Ania nie zrobiła Kamilowi nic. Odpisywała uprzejmie na wiadomości, których nie wywoływała. Całą tę zimę Kamil zrobił sobie sam.

Pisał ktoś na forum, z samego środka takiego stanu: „Zaślepiają mnie uczucia i nie potrafię logicznego wyjścia znaleźć...” I ktoś inny,

krócej i trzeźwiej: „Problem jest w tym, że zupełnie nie wiem jak mam się za to zabrać.” Ten drugi przynajmniej nazwał to jednym zdaniem, bez teatru. Większość liczy dopiero po fakcie, w miesiącach.

Wiem też, dlaczego tak trudno to przyjąć, i nie jest to powód, który lubisz. Nadzieja porządkuje dni. Daje wieczorom temat, porankom rytuał, tygodniom dramaturgię. Facet, który miesiącami czekał na jedną osobę, nie broni jej, on broni konstrukcji, na której powiesił pół swojego życia wewnętrznego. Przyjęcie odpowiedzi oznacza, że konstrukcja spada, a pod nią jest zwykły pusty wieczór, który trzeba czymś zapełnić samemu. Dlatego tylu facetów wybiera czekanie: nie dlatego, że wierzą, tylko dlatego, że czekanie jest zajęciem, a brak czekania jest pustką. Tyle że to jest wybór między pustką, z którą da się coś zrobić, a zajęciem, które zjada cię po cichu.

A koszt idzie głębiej niż czas. Za każdym razem, kiedy piszesz trzeci raz po dwóch mgłach, podpisujesz przed samym sobą oświadczenie, że twój wieczór jest wart mniej niż jej może. Nikt ci tego nie robi. Sam to sobie robisz, po kawałku, tygodniami. A potem stajesz przed następną kobietą już jako facet, który się tak wycenił, i dziwisz się, że to słyszać.

Odpuszczenie ma też podróbkę i trzeba ją nazwać, bo wygląda łudząco: odpuszczenie strategiczne. Stare szkoły radzą: zniknij, niech poczuje różnicę, cisza pracuje dla ciebie. To nie jest odpuszczenie. To jest nadzieja w przebraniu, dalej czekasz, tylko teraz z zegarkiem: minęły dwa tygodnie, powinna się odezwać. Odpuszczenie poznaje się po jednym: przestajesz zbierać dane. Nie sprawdzasz jej relacji. Nie wiesz, co wrzuciła wczoraj. Jeśli odpuściłeś i wiesz, to nie odpuściłeś, tylko zmieniłeś technikę obserwacji.

Zasada jest prosta i można ją sobie przykleić nad biurkiem: dwa zaproszenia z konkretem, w odstępie co najmniej dwóch tygodni, oba bez tak i bez kontrpropozycji, i koniec inicjowania. Bez trzeciego zaproszenia, bo trzecie nie sprawdza już niczego, czego nie sprawdziły dwa pierwsze. I bez pożegnalnej wiadomości, w której elegancko ogłaszasz, że się wycofujesz. To nie jest zamknięcie, to jest ostatnia

wędką, owiniętą w godność. Po prostu przestajesz inicjować i robisz dalej swoje życie. Jeśli kiedykolwiek coś wyjdzie od niej, świat cię o tym poinformuje. Nie musisz czuć.

Nagrody pocieszenia nie będzie, więc jej nie obiecuję. Najczęściej ona nawet nie zauważy, że przestałeś, bo w jej tygodniu twoje wiadomości zajmowały mniej miejsca, niż zajmowały w twoim. Nie przybiegnie. Odpuszczenie nie jest ruchem w grze. Jest wyjściem z gry, która toczyła się w jednej głowie. Zyskujesz jedno i jest tego zaskakująco dużo: wracają ci wieczory. I wracasz sobie ty.

Kamil nie napisał trzeci raz. Miał już nawet złożoną wiadomość, lekką, w sam raz na wypadek, gdyby tamto dam znać się gdzieś zapodziało. Skasował. Przez pierwszy tydzień było gorzej, nie lepiej, ręka sama szła do telefonu i wracała pusta. W drugim tygodniu poszedł do sali prób trzy razy zamiast raz, bo nagle miał z czego. Gdzieś w okolicach trzeciego zauważył, że przegrał trzy miesiące, a nie życie, i że różnica między tymi dwiema kwotami jest cała jego. Nie stało się nic. To znaczy: przestało się nie dziać.

I rozróżnienie na koniec, żeby nikt nie wyszedł stąd z siekierą: odpuszczasz inicjowanie, nie człowieka. Nie musisz nikogo blokować, wykreślać ani demonstrować chłodu, jak cię gdzieś spotka, mówisz cześć jak człowiek. Chyba że wiesz o sobie, że inaczej nie umiesz przestać zbierać danych. Wtedy wyłącz obserwowanie i nie nazywaj tego dramatem. Nazwij to higieną.

Narzędzia

Cztery. Jak zawsze do roboty w życiu, które już masz.

1. Tabelka zamiast wrażeń. Dwa tygodnie, po każdym kontakcie z kobietą, na której ci zależy, trzy rubryki: kto zaczął, czy w jej odpowiedzi było pytanie albo konkret, czy cokolwiek wyszło od niej. Fakty, zero przymiotników. Rubryki ale wydaje mi się nie ma. Po dwóch tygodniach czytasz całość tak, jak mechanik czyta pomiary ciśnienia w oponach: nie pojedyncze odczyty, tylko kierunek.

2. Odejbowanie uprzejmości. Przy każdym goście, w którym chcesz zobaczyć sygnał, jedno pytanie kontrolne: czy ona to robi też innym? Serduszka sieje po całej ekipie? Musimy się kiedyś spotkać mówi na każdym pożegnaniu, każdemu? Odejmij wszystko, co jest dla wszystkich. Sygnałem jest tylko to, co zostaje. Czasem zostaje mało. Lepiej wiedzieć ile, niż nadrabiać wyobraźnią.

3. Jedno zaproszenie z konkretem. Dzień, godzina, miejsce, jasność, że we dwoje. Potem odpowiedź wkładasz do jednej z trzech szuflad: tak, kontrproponycja, mgła. Czwartej szuflady nie ma. Trzeba to przemyśleć wkładasz do mgły, choćby bolało.

4. Licznik analiz. Przez tydzień zapisuj minuty oddane analizowaniu: układanie wiadomości, przewijanie starych, sprawdzanie relacji, narady z kolegami. Zsumuj. To jest cena zgadywania. Obok dopisz, ile trwa wysłanie zaproszenia z konkretem: pół minuty. Różnica między tymi liczbami to twój rachunek za nadzieję.

Arkusz 48 godzin

Dwa dni, kartka, długopis.

Dzień pierwszy. Diagnoza. Kartka na pół, w pionie. Lewa kolumna: wszystko, co przez ostatni miesiąc wyszło od niej samo z siebie. Napisała pierwsza, coś zaproponowała, o coś zapytała. Prawa kolumna: wszystko, co było odpowiedzią na twoje ruchy. Same fakty, serduszko to serduszko, nie dowód. Wieczorem spójrz na lewą kolumnę. Jeśli po miesiącu jest pusta, to nie jest jeszcze wyrok, ale to jest odczyt i masz go czarno na białym. Od dziś uruchom też licznik analiz z narzędzia czwartego.

Dzień drugi. Wykonanie, w jednej z dwóch wersji. Wersja pierwsza, kiedy wzoru jeszcze nie znasz: jedno zaproszenie z konkretem, powiedziane albo wysłane. Wieczorem zapisz odpowiedź słowo w słowo i szufladę: tak, kontrproponycja, mgła. Wersja druga, kiedy wzór od tygodni mówi ci to, czego nie chcesz słyszeć: jeden dzień bez zbierania danych. Zero sprawdzania, zero przewijania, zero

narad. Wieczorem zapisz, ile razy ręka sama poszła do telefonu. Ta liczba powie ci, kto tu kogo trzymał.

Zaliczone, kiedy masz dwie kolumny i do tego jedną odpowiedź w szufladzie albo jeden dzień bez danych z zapisaną liczbą. Samo przeczytanie zaliczeniem nie jest. Czytanie to jest dokładnie to, z czego się tu leczysz.

Piątek

Piątek, dziewiętnasta, gruzińska na Mickiewicza. Marek jest pięć minut przed czasem i nie udaje, że akurat przechodził. Ewa przychodzi równo, w kurtce jeszcze zimowej, bo kwiecień w tym mieście nie składa obietnic. Pierwszy raz od grudnia nie ma między nimi ścianki, ekipy ani kubków z automatu. Nie mają alibi i żadne go nie szuka.

Rozmowa jest taka jak zawsze i zupełnie inna, dokładnie w tej proporcji, w jakiej piątek o dziewiętnastej różni się od czwartku po ścianie. Ewa opowiada o jutrzejszych urodzinach mamy, o cioci, która co roku pyta o to samo i co roku jest zdziwiona odpowiedzią. Przy chaczapuri mówi nagle, między jednym zdaniem a drugim: wiesz, że ty mnie pierwszy raz gdzieś zaprosiłeś? Tak normalnie, z dniem i godziną. Myślałam, że będziemy chodzić po ściankach do emerytury.

Marek mógłby teraz opowiedzieć o wszystkim, o czym jest ta książka. Nie opowiada. Mówi tylko: no. Mogłem wcześniej. Czekałem, aż będzie po czymś widać, że mogę.

I nie było po czym, mówi Ewa. Nie planowałam ci niczego wywieszać. Trzeba było zapytać, tak jak teraz.

Po kolacji idą kawałek piechotą, bo nikt nie sprawdza tramwajów. Przy jej bramie Ewa mówi: w przyszłą sobotę gra ten zespół, o którym ci opowiadałam po konferencji. Biorę bilety, tym razem ja zapraszam. I wchodzi w bramę, zanim Marek zdąży zrobić z tego żart, co być może jest najlepszą decyzją tego wieczoru, choć nie jego.

Marek wraca przez Żoliborz na przystanek i po drodze myśli o tabelce, którą przez dwa tygodnie zapisywał co rano przed wyjazdem z

garażu. Dwa tygodnie pomiarów nauczyły go więcej, niż miały prawo. Że jeden odczyt to okoliczność, choćby nie wiadomo jak błyszczał albo straszył. Że wzór składa się z nudnych, powtarzalnych rubryk i właśnie dlatego mówi prawdę. I że wynik przyjmuje się w całości, w ten dobry wieczór tak samo jak w zły, bo tabelka prowadzona tylko do miłego momentu nie jest tabelką, tylko pamiętnikiem nadziei. Na czym stoi, wie od czterech sekund w szatni i od jednego zdania w bramie: lewa kolumna przestała być pusta. Reszty nie zgaduje. Resztę będzie sprawdzał tak samo, pytaniem, na które odpowiada się dniem i godziną, i tym, że się przychodzi.

Rozdział 8. Nikt nie wiąże węzła po cichu



Czwartek, koniec marca, hala wspinaczkowa. Ta sama co zawsze: zapach magnezji, szum wentylacji, gdzieś z góry stuk ekspresów o ścianę. Marek i Ewa wspinają się razem od grudnia, na wędkę, na zmianę. Znają swoje ruchy na pamięć.

A mimo to, zanim Ewa dotknie ściany, dzieje się to, co dzieje się za każdym razem. Ona wiąże ósemkę i pokazuje mu węzeł. On sprawdza: przeplot, zapas liny, uprząż dopięta. Ona sprawdza jego: karabinek zakręcony, lina w przyrządzie poprowadzona jak trzeba. Potem dwa słowa, głośno, przy ludziach. Masz mnie? Mam.

Dwa metry dalej instruktor prowadzi kurs dla początkujących i mówi zdanie, które Marek słyszał już sto razy i nigdy nie usłyszał naprawdę: kontrolę partnerską robimy na głos, zawsze, oboje. Nawet jak wspinasz się ze sobą dziesięć lat. Nie dlatego, że sobie nie ufacie. Dlatego, że na tym zaufanie stoi.

I to jest cała tajemnica tego miejsca. W hali pełnej ludzi, którzy wiszą sobie nawzajem na rękach, nikt niczego nie robi po cichu. Węzeł wiąże się na widoku. Komendy idą głośno: blok, luz, wybierz. Zanim ktoś puści linę, mówi, że puszcza. Zanim ktoś usiądzie w uprząży, pyta, czy jest trzymany. I nikomu, ani jednej osobie na tej sali, nie przychodzi do głowy, że głośne pytanie psuje wspinanie. Ono je umożliwia. Zapamiętaj tę zasadę, będzie nam potrzebna do końca rozdziału: nikt nie wiąże węzła po cichu.

Po ścianie Marek odprowadza Ewę przez Żoliborz, jak co tydzień od tamtej rozmowy w parku. Od dwóch tygodni wszystko jest

nazwane: on powiedział, ona nie zgasła, oboje wiedzą. Idą wolno, blisko, jej ręka wisi dziesięć centymetrów od jego ręki.

I przez te dziesięć centymetrów Marek prowadzi w głowie naradę, która trwa od placu Wilsona do jej ulicy. Wziąć ją za rękę. Teraz. Nie, teraz opowiada o pracy, to wyjdzie jakby nie słuchał. Teraz. Nie, właśnie się zaśmiała, wyjdzie, że korzysta z okazji. Może przy przejściu dla pieszych, będzie naturalnie. Przejście mija. Może w parku. Park się kończy. Trzy razy jego ręka rusza w jej stronę i trzy razy zawraca w połowie drogi, a w końcu chowa się do kieszeni, jakby jej tam od początku było pisane.

Ewa widzi ten trzeci ruch. Patrzy na jego rękę, potem na niego, przez sekundę, bez słowa. Potem poprawia pasek torby na ramieniu i opowiada dalej. Przy bramie żegnają się dziwnie oficjalnie, jak po zebraniu wspólnoty. Do czwartku, mówi Ewa. I już jej nie ma.

Marek wraca przez park i jest na siebie wściekły, chociaż nie umie powiedzieć, o co dokładnie. Przecież nic nie zepsuł. Nic nie zrobił.

No właśnie.

Skok i ciąg dalszy

Rozbierzmy ten wieczór, bo w nim widać mechanizm, na którym wyklada się bardzo wielu facetów, także tych, którzy rozmowę mają już opanowaną.

Marek boi się być natrętem. To jest uczciwy strach i dobrze o nim mówi. Pisał ktoś na forum lata temu, że czytał o różnych technikach, ale „boje się wyjść przy niej na jakiegoś napaleńca któremu jedno w głowie”. Inny, z tego samego miejsca w życiu, przyznał wprost, że nie wie, jak ruszyć dalej: „Ze względu na różnicę wieku i brak doświadczenia nie wiem jak to teraz rozegrać”. Jeśli masz w sobie ten hamulec, to nie jest wada. To znak, że nie jesteś człowiekiem, dla którego druga osoba to teren do zajęcia. Problem w tym, że Marek z tego hamulca zrobił zły wniosek. Uznał, że skoro dotyk może być natrętny, to bezpieczniej nie dotykać wcale, a najlepiej odsunąć to na później, na jakiś właściwy moment, który przyjdzie sam.

Tylko że natręctwo nie mieszka w dotyku. Mieszka w dwóch innych miejscach: w ukryciu i w naciskaniu. Natrętna nie jest ręka, którą widać. Natrętna jest ręka, która pojawia się znikąd, i ręka, która nie przyjmuje odpowiedzi. Marek tego jeszcze nie rozróżnia, więc tnie po całości: żadnej ręki. I nie zauważa, że właśnie buduje sobie pułapkę na przyszłość.

Bo dotyk nie jest osobnym etapem, do którego się przechodzi. Jest przedłużeniem tego, co już jest między wami, albo nie ma go z czego przedłużyć. Facet, który przez cały wieczór nie zrobił nic jawnego, ani zdania wprost, ani spojrzenia, które by czegoś nie ukrywało, a potem nagle łapie kobietę za rękę albo nachyla się do pocałunku, nie robi kroku. Robi skok. A skok, którego nic nie zapowiadało, wygląda z zewnątrz jak zasadzka: cały wieczór był jeden gatunek, kolega, rozmowa, żarty, i nagle z tego kolegi wyskakuje ktoś inny, kto najwyraźniej cały czas tam siedział i czekał. Nawet jeśli ona go lubi, dostaje w tym momencie do przeknięcia nie sam dotyk, tylko odkrycie, że wieczór był czymś innym, niż wyglądał.

Facet, który przez cały wieczór był jawny, ma inaczej. Jego ręka na jej dłoni nie zmienia gatunku wieczoru. Jest ciągiem dalszym tego samego zdania, które zaczął słowami. Dlatego swoboda w dotyku nie bierze się z odwagi ani z pewności siebie, choć tak to wygląda z daleka. Bierze się z braku ukrytego planu. Ręka, która ma tajny plan, jest ciężka i sztywna, i widać ją z kilometra, bo ciało nie umie kłamać tak dobrze jak usta. Ręka, która nie ma nic do ukrycia, jest zwykła. Waży tyle, ile ręka.

Jest w tym wahaniu jeszcze jeden składnik, który warto wyjąć na wierzch, bo Marek karmił się nim przez całą drogę: wiara we właściwy moment. Że przyjdzie taka chwila, w której ręka weźmie się sama, bez decyzji, i wtedy nie będzie ryzyka. Ta chwila nie istnieje. To znaczy istnieje, ale nie przychodzi do faceta, który na nią czeka, tylko do tego, który ją zrobił: zdaniem wprost, spojrzeniem, ciszą, całą robotą z poprzednich rozdziałów. Moment na dotyk nie jest znajdowany. Jest budowany, jawnie, na oczach obojga, i dlatego czekanie na niego z

rękami w kieszeniach może trwać latami. Niejeden przeczekał tak całą znajomość i do dziś opowiada, że okazja jakoś nie wyszła.

Marek w tamten czwartek nie miał ukrytego planu. Miał gorzej: miał plan jawny i wykonanie tajne. Wszystko już powiedział, dwa tygodnie wcześniej, na głos. A potem próbował dotknąć jej ręki tak, żeby to jakoś samo wyszło, mimochodem, przy przejściu dla pieszych, w miejscu, gdzie nie trzeba się przyznawać do zamiaru. Zauważ ten rozjazd, bo on jest sednem: powiedzieć umiał wprost, dotknąć chciał niezauważalnie. A niezauważalnie się nie da. Pół ruchu widać dokładnie tak samo jak cały ruch, tylko że cały ruch wygląda jak decyzja, a pół ruchu jak ukrywanie. Ewa widziała rękę, która trzy razy ruszyła i trzy razy stchórzyła w połowie. To też był komunikat. Brzmiał: chcę i się wycofuję, i nie mów nikomu.

Drabina, którą widać

Szkoła, z której pochodzi materiał źródłowy tej części, amerykańska, sprzed dwudziestu lat, miała na dotyk cały system. Uczyla stopniowania: nie skacz od zera do pocałunku, idź drobnymi krokami, ramię, dłoń, bliżej, i po każdym kroku się cofnij. Dwa kroki w przód, jeden w tył. Uczyla wchodzić w czyjąś przestrzeń pod pretekstem, na sekundę, niby po to, żeby poczuć perfumy, i zaraz się odsunąć. Uczyla wplatać w rozmowę słowa z podtekstem i patrzeć, co się stanie. A wszystko to dawkiowane tak, żeby kobieta się nie zorientowała, że coś rośnie. Żeby bliskość weszła bokiem, poniżej progu uwagi, zanim padnie jakakolwiek decyzja.

Nazwijmy uczciwie, co w tym jest dobre, bo coś jest. Sama obserwacja, że bliskość rośnie stopniowo, a nie skokiem, jest trafna. To, że po goście zostawia się przestrzeń zamiast napierać dalej, też. Ci ludzie dobrze widzieli mechanikę. A potem zaprzęgli ją do celu, który całość zatruwa: do tego, żeby druga strona niczego nie zauważyła. U nich stopniowanie służyło za narzędzie znieczulenia. Małe kroki nie po to, żeby ona mogła na każdy odpowiedzieć, tylko po to, żeby żaden nie był na tyle duży, by uruchomić jej decyzję.

Tego nie robimy. I nie robimy tego z powodów praktycznych, nie tylko z przyzwoitości, więc wyłożę je po kolei.

Po pierwsze, sterowanie jest wyczuwalne. Człowiek prowadzony po drabinie, której szczeble ktoś przed nim zasłania, nie umie powiedzieć, co jest nie tak, ale czuje, że coś jest. Rytm tamtej ręki jest nie z tej rozmowy, kroki za równe, wycofania za punktualne. To się odbiera skórą, nie głową.

Po drugie, kobieta, która w końcu się zorientuje, że była prowadzona, a orientuje się prawie zawsze, jeśli nie tego wieczoru, to za tydzień, wycofuje się przy pierwszej okazji. I nie dlatego, że dotyk był zły. Dlatego, że została przechytrzona, a z człowiekiem, który cię przechytrzył raz, nie zostaje się w zasięgu ręki.

Po trzecie, i to jest powód, który powinien przemówić nawet do kogoś, kogo dwa pierwsze nie ruszają: facet, który dostał bliskość metodą, nigdy nie wie, co właściwie dostał. Czy ona jest z nim, czy z tym, co odegrał. Musi grać dalej, bo nie wie, co się stanie, jak przestanie. To jest wygrana, której nie da się wnieść do domu.

A teraz odwróć tę drabinę do światła, bo jej nie wyrzucamy. Wyrzucamy tylko zasłonę. Stopniowanie zostaje, z jednym przedstawionym powodem: małe kroki nie po to, żeby nie zauważyła, tylko po to, żeby każdy był na tyle mały i na tyle widoczny, że da się na niego odpowiedzieć. Krok, potem miejsce na jej ruch, potem dopiero następny krok, i to jest dokładnie rytm kontroli partnerskiej: napnij, posłuchaj, dopiero potem dalej, znasz go z rozdziału o strunie. Na ścianie nikt nie wybiera liny ukradkiem, po dziesięć centymetrów, żeby wspinacz nie zauważył, że wisi. Wszystko idzie głośno i wszystko widać, i właśnie dlatego ludzie na tej sali są rozluźnieni. Jawność nie jest podatkiem od bliskości. Jest tym, z czego bliskość jest zrobiona.

Jak to wygląda w praktyce, Marek pokazał tydzień później, bo do następnego czwartku zdążył zrozumieć swój rozjazd. Znowu Żoliborz, znowu te dziesięć centymetrów. Tylko że tym razem Marek nie czeka na przejście dla pieszych. Zatrzymuje się na środku alejki, odwraca do niej i wyciąga rękę. Otwartą, dłonią do góry, w pełnym świetle latarni.

Cały ruch od początku do końca na widoku, powolny jak komenda na ścianie.

Chodź, mówi. Kawał drogi jeszcze.

Ewa patrzy na tę rękę. Potem na niego. Trwa to może dwie sekundy i Marek ich nie zapycha, stoi z wyciągniętą ręką i czeka, a ta ręka nie ma w sobie nic z tamtej, chowanej do kieszeni. Ta przyznaje się do wszystkiego.

Ewa wkłada w nią swoją. Idą dalej, w pół zdania wracając do rozmowy, i nic nie zmienia gatunku, niczego nie trzeba komentować. Dwie rzeczy są warte zapamiętania z tej sceny. Pierwsza: otwarta dłoń to jest jawność zamieniona w gest, zero chwytania, cała odpowiedź po jej stronie, może włożyć rękę albo nie włożyć, i obie te odpowiedzi są możliwe do wykonania bez słowa. Druga: całe wahanie zeszłego tygodnia ważyło więcej niż ten jeden ruch.

Odpowiedź czyta się z ruchu

Krok zrobiony jawnie ma jeszcze jedną przewagę, największą: umożliwia odpowiedź, którą da się przeczytać. I tu potrzebujemy rzemiosła, bo odpowiedzi na dotyk rzadko padają słowami.

Odpowiedź twierdząca jest aktywna. Ona coś robi, nie tylko czegoś nie robi. Oddaje uścisk. Zostaje bliżej, niż musi. Przysuwa się o te dwa centymetry, których nikt nie wymaga. Wraca do rozmowy swobodnie, głos jej nie siada, zdania nie robią się krótsze. Czasem odpowiedź twierdząca sama robi następny krok: jej ramię przy twoim, jej głowa przechylona bliżej. To wszystko widać, jeśli się patrzy.

Odpowiedź odmowna też jest czytelna. Ręka, która się wysuwa, choćby powoli i grzecznie. Pół kroku w bok. Ramię, które sztywnieje pod twoją dłonią. Torba przełożona tak, że robi się z niej przegroda. Rozmowa, która nagle brzmi jak rozmowa w windzie. Żadnej z tych rzeczy nie wolno ci przegapić ani zignorować, i obowiązuje przy nich protokół z tamtego rozdziału: przyjmujesz bez dogrywki, wracasz do stanu, w którym było wam dobrze, nie ponawiasz tego wieczoru i nie karzesz chłodem. Cofnięcie ręki to nie jest przegrana runda, po której

się dociska. To jest odpowiedź.

Jedno zastrzeżenie do odmowy, zanim pójdziemy dalej: cofnięta ręka to odpowiedź na dziś, nie wyrok na zawsze. Ludzie miewają zły dzień, zimne dłonie, głowę w czymś, o czym nie wiesz. Odmowa przyjęta spokojnie, bez dociskania i bez kary, zostawia wszystko w grze: rozmowa toczy się dalej, następny jawny krok może paść za tydzień, od zdania, nie od ręki. Odmowa, po której dociskałeś albo wystawiłeś rachunek chłodem, zamyka więcej, niż zamknęła sama odmowa. To rozróżnienie znasz już z rozmowy. Przy dotyku waży podwójnie, bo tu stawką jest jej poczucie, że przy tobie można powiedzieć nie i nic się nie wali. Kobieta, która to raz sprawdziła i wyszło, wraca. Tamta druga nie.

I zostaje trzecia możliwość, o której stare szkoły mówiły rzecz najgorszą z możliwych: brak reakcji. Ona nie oddała uścisku, ale nie zabrała ręki. Nie odsunęła się, ale zamilkła. Stare szkoły liczyły to jako zgodę: nie protestuje, znaczy można dalej. Otóż nie. Brak reakcji to nie jest odpowiedź twierdząca, bo ludzie nieruchomieją także wtedy, kiedy nie wiedzą, co zrobić, kiedy jest im głupio, kiedy nie chcą robić sceny. Nieruchomo stoi też ktoś, kto właśnie liczy, jak daleko do wyjścia. Zgoda jest aktywna albo jej nie ma. Cisza ciała to nie jest tak. To jest nie wiem, a nie wiem czyta się tak samo jak nie, dopóki nie stanie się jawnym tak.

Luz w ciemno

Co więc robić, kiedy odpowiedź jest niejasna. Zasada jest jedna i krótka: pytasz albo się wycofujesz. Nigdy nie idziesz dalej.

Wróć na ściankę. Asekurujesz, lina nagle staje, z dołu nie widać, co się dzieje na ścianie. Odpadła? Odpoczywa? Szuka chwytu? Nie wiesz. I w tej sytuacji każdy człowiek po kursie robi jedną z dwóch rzeczy: pyta w górę, co tam, albo blokuje linę i czeka. Jednej rzeczy nie robi nigdy: nie daje luzu w ciemno. Bo luz podany na ślepo, w momencie, którego nie rozumiesz, to jest dokładnie ten luz, przy którym ludzie spadają.

Z dotykiem jest tak samo co do joty. Niejasna odpowiedź to nie jest zaproszenie do sprawdzenia następnym krokiem, czy przejdzie. To jest lina, która stanęła. Masz dwa wyjścia i oba są dobre. Możesz zapytać, wprost, spokojnie, bez teatru. Możesz też po prostu się cofnąć: zabrać rękę, wrócić do rozmowy, i to nie jest porażka, tylko zablokowana lina, z którą nic złego się nie dzieje. Trzeciego wyjścia nie ma. Krok naprzód w niejasność nie jest odwagą. Jest luzem podanym w ciemno i tak też bywa wspominany.

Słowo o tym, jak pytać, bo forma robi tu połowę roboty. Pytanie przy niejasności to nie jest podanie do urzędu ani prośba o łaskę. Nie mówisz go z pozycji petenta, spuszczonego głosem, z gotowym przeproszeniem w drugiej ręce, bo wtedy pytasz tak naprawdę o coś innego: czy na pewno wolno ci chcieć. Na to pytanie odpowiedź padła już w tomie pierwszym i nie musisz jej zbierać po ludziach. Pytasz krótko, wolno, patrząc na nią, tym samym głosem, którym mówisz zdania bez furtki, bo to jest zdanie bez furtki, tylko ze znakiem zapytania. I pytasz raz. Odpowiedź, każda, kończy sprawę.

Zostaje strach, który w tym miejscu odzywa się prawie każdemu: że pytanie zepsuje chwilę. Że jak zapytasz, pryśnie. Ten strach pochodzi wprost z tamtej starej szkoły, bo jeśli bliskość ma wjechać niezauważona, to każde głośne słowo faktycznie jest awarią systemu. Ale ty nie prowadzisz tej operacji. U ciebie wszystko i tak jest na wierzchu, więc pytanie niczego nie zdradza, bo nie ma czego zdradzić. Pytanie zadane wolno, blisko, pewnym głosem, przez faceta, który cały wieczór był jawny, nie psuje chwili. Ono ją porządkuje: przez sekundę oboje wiecie dokładnie, co się dzieje, i ona dostaje coś, czego żadna technika jej nie da, dowód, że w tym, co się między wami dzieje, jej odpowiedź jest częścią konstrukcji, a nie przeszkodą do ominięcia. Masz mnie? Mam. Nikomu na całej sali nie przyszło do głowy, że to psuje wspisanie.

Narzędzia

Cztery, jak zwykle do trenowania w życiu, które już masz.

1. Ruch od frontu. Przez tydzień każdy dotyk, także ten zwyczajny, koleżeński, wykonujesz tak, żeby był widoczny od początku: podanie ręki, przybicie po meczu, klepięcie w ramię kumpla. Nic zza pleców, nic znienacka, nic mimochodem. Ruch zaczyna się w polu widzenia drugiej osoby i idzie w tempie, w którym da się go zobaczyć cały. Trenujesz rękę, która się przyznaje, i oduczasz rękę, która chce wyjść przypadkiem.

2. Rachunek przed ręką. Zanim dotkniesz kobiety, która ci się podoba, jedno pytanie do siebie: co jawnego padło ode mnie dzisiaj. Jedno zdanie wprost, jedno spojrzenie bez ucieczki, cokolwiek z rozdziału o strunie. Jeśli nic, to nie jest pora na rękę, tylko na zdanie, bo dotyk nie może być pierwszym jawnym ruchem wieczoru. Najpierw struna, potem ręka. Zawsze w tej kolejności.

3. Trzy sekundy po. Po każdym dotyku, każdym, także po podaniu ręki nowemu człowiekowi w pracy, przez trzy sekundy patrz, co robi druga strona. Oddała, została, cofnęła się, zeszytniała, nic. Nie oceniaj, tylko zauważ. Większość facetów nie czyta odpowiedzi na dotyk nie dlatego, że nie umie, tylko dlatego, że po własnym geście patrzy w siebie, na swój strach, zamiast na drugiego człowieka. Te trzy sekundy przestawiają ci wzrok.

4. Zdanie na niejasność. Ułóż sobie zawczasu, słowo w słowo, jedno pytanie na moment, w którym nie będziesz wiedział. Krótkie, twoje, takie, które umiesz powiedzieć wolno. Chcesz? Mogę? Dobrze ci tak? Wybierz jedno i powiedz je na głos w pustym pokoju kilka razy, aż przestanie brzmieć jak z urzędu. Robi się to zawczasu z tego samego powodu, z którego komend uczy się na kursie, a nie na ścianie: w momencie, w którym są potrzebne, nie ma już czasu ich składać.

Arkusz 48 godzin

Dwa dni, kartka, długopis.

Dzień pierwszy. Diagnoza. Cały dzień prowadzisz ruch od frontu i trzy sekundy po, z każdym, bez wyjątków. Wieczorem spiszesz: ile razy

dziś w ogóle dotknąłś drugiego człowieka i ile z tych ruchów zaczęło się w jego polu widzenia. Jeśli wyszło zero dotknięć, zapisz zero, to też jest wynik i ma swoją wymowę. Potem rachunek wstecz: przypomnij sobie ostatnią sytuację, w której chciałeś dotknąć kobiety i tego nie zrobiłeś, i opisz w dwóch zdaniach, co dokładnie robiła twoja ręka. Ruszyła i zawróciła? Nie ruszyła wcale? To jest twój stan wyjściowy.

Dzień drugi. Wykonanie. Ułóż i wytrenuj na głos swoje zdanie na niejasność, zapisz je na kartce słowo w słowo. Potem jeden ruch od frontu wykonany świadomie wobec konkretnego człowieka i zapisane trzy sekundy po nim: co zrobiła druga strona, dosłownie, bez interpretacji. Jeśli w twoim życiu jest teraz kobieta, której dotyczy ten rozdział, nie planuj na jutro żadnej ręki. Zaplanuj rachunek przed ręką: jedno jawne zdanie, i dopiero od niego niech się liczy reszta. Ręka przyjdzie w swoim czasie, po strunie, nie zamiast niej.

Zaliczone, kiedy masz liczby z dnia pierwszego, zdanie na kartce i jeden zapisany ruch z trzema sekundami po nim. Samo przytaknięcie w trakcie czytania zaliczeniem nie jest, przytakiwać umiesz od lat.

Przy bramie

Czwartek, początek kwietnia. Po ścianie Marek odprowadza Ewę i od parku idą za rękę, bo to już jest ich rzecz, trzeci raz, jeszcze nowa, już nie komentowana. Wieczór jest pierwszy naprawdę ciepły w tym roku i pod bramą nikomu się nie spieszy.

Ewa zatrzymuje się, odwraca do niego. Stoi blisko, bliżej niż zwykle. Patrzy na niego, potem gdzieś w bok, na bramę, potem znowu na niego. Przekłada klucze z ręki do ręki. I jeszcze raz w bok.

Marek nie umie tego przeczytać. Bliskość mówi jedno, klucze co innego, wzrok raz to, raz tamto. Lina stanęła i z dołu nie widać dlaczego. Stary Marek zrobiłby w tym miejscu jedną z dwóch rzeczy: albo daliby luz w ciemno, nachylenie na próbę, niech się okaże, albo powiedziałby dobranoc i przez całą drogę do domu rozbierał tę scenę na czynniki. Ten Marek robi trzecią rzecz. Mówi, wolno, tak jak się mówi zdania, które nie mają furtki:

Chcę cię pocałować. I nie umiem wyczytać, czy to jest ten moment. Więc pytam.

Cisza, którą znasz już z tej książki. Marek jej nie zapycha. A Ewa patrzy na niego i to, co było w niej rozsypane, klucze, wzrok, bok, brama, składa się w jedno. Odkłada klucze do kieszeni. Uśmiecha się, powoli.

Też nie umiałam ci tego pokazać, mówi. Dobrze, że któreś zapytało. Robi ostatnie pół kroku sama.

Pocałunek jest krótki i zwyczajny, i żadne z nich nie zapamięta go za technikę, bo nie ma czego. Zapamiętają co innego: że nic w tym wieczorze nie wydarzyło się poniżej progu uwagi. Że każdy krok od grudnia był widoczny, ten też. Marek wraca potem przez park najdłuższą możliwą trasą i myśli o sali, na której co czwartek kilkadziesiąt osób powierza sobie nawzajem zdrowie, głośno, według prostych komend, i o tym, że najbliższa rzecz, jaką w życiu widział do czułości, wisiała tam cały czas na uprzężach. Masz mnie. Mam. Węzeł zawiązany przy świetle trzyma tak samo mocno jak zawiązany po kryjomu. Różnica jest gdzie indziej: przy tym pierwszym oboje wiedzą, na czym wiszą, i dlatego oboje mogą puścić ścianę.

Rozdział 9. Ogień, którego nikt nie pilnuje sam



Piątek, pierwszy dzień majówki, 20:40. Jura, łąka przy gospodarstwie pod Podlesicami. Skały jeszcze widać na tle nieba, jako ciemniejsze plamy nad linią drzew, i pachnie tak, jak pachnie początek maja na wsi: trawą, dymem i czymś grillem trzy podwórka dalej.

Zjechali się po południu, trzema autami z trzech stron Polski. Ekipa krakowska Maćka w dwóch samochodach, osiem osób, w tym Agata i dziewczyna, której Marek jeszcze nie zna, Iga, wspina się od jesieni, na wyjeździe z tą ekipą pierwszy raz. Paweł przyjechał z Wrocławia sam, Justyna pojechała ze swoimi dziewczynami nad morze i machnęła mu na drogę. A Marek przywiózł z Warszawy Ewę i Kamila, bo w połowie kwietnia, w czwartek wieczorem, zadzwonił do Poznania i powiedział zdanie, które kiedyś sam usłyszał: jedziemy na majówkę w skały, w aucie jest jedno wolne miejsce. Kamil nie zapytał nawet dokąd.

Teraz jest wieczór i na środku łąki powstaje ognisko. Popatrz, jak powstaje, bo to jest ważne. Marek ułożył stos, równy, staranny stożek, patyk do patyka, jak z instrukcji. Stos wygląda pięknie i nie chce się palić. Maciek kuca obok i bez słowa wyciąga ze środka połowę patyków, bo ogień potrzebuje powietrza, nie porządku. Ktoś z krakowskich przynosi z auta suchą korę, ktoś inny staje plecami do wiatru i robi z kurtki zasłonę. Kamil podtyka płomień. Agata mówi, że jak zwykle pięciu facetów przy jednej zapalce, i podaje szóstą, bo tamta zgasła. Kiedy w końcu zajmuje się na dobre, nikt nie jest autorem tego ognia. I nikt go potem nie pilnuje. Co jakiś czas czyjaś

ręka dorzuca patyk, bez proszenia, bez ustaleń, w połowie zdania. Ogień, którego pilnuje jeden człowiek, gaśnie, kiedy tamten odejdzie na pięć minut. Ogień, do którego dorzuca dwunastu, pali się do drugiej w nocy sam. Zapamiętaj ten ogień, będzie nam potrzebny do końca rozdziału.

Bo dokładnie tak samo działa rozmowa, która się przy nim toczy. Nikt jej nie prowadzi. Maciek rzuca: Marek, opowiedz tę z Sokolik, jak żeście schodzili we czterech na jednej czołówce. I Marek opowiada, a w połowie ktoś dopowiada szczegół, którego Marek by nie pamiętał, a na końcu ktoś inny dokłada puentę i to nie jest odebranie mu historii, tylko jej dogranie. Z tej historii wyrasta następna, o zgubionej mapie, z tamtej jeszcze inna, o schronisku, w którym kuchnia zamykała się pięć minut przed ich wejściem, zawsze, trzy dni z rzędu. Przekomarzają się. Maciek wypomina Markowi stożek z patyków, Marek Maćkowi to, że instruktor wspinania dwa razy pomylił drogę do sklepu. Śmiech nie jest z nikogo, jest z historii, które mają wspólne.

Ewa siedzi obok Marka na rozłożonej karimacie i przy trzeciej opowieści pochyła się do niego: ile wy tego macie. Marek mówi, że nie wie, nikt nie liczy. I dopiero mówiąc to, orientuje się, że od godziny ani razu nie pomyślał, co powiedzieć. Ani razu. Rok temu, na tamtej parapetówce na Woli, każdą rozmowę dźwigał w pojedynkę i każda umierała mu w rękach po czterdziestu sekundach. Dziś siedzi przy ogniu, mówi może co dziesiąte zdanie i jest w tej rozmowie bardziej obecny niż wtedy we wszystkich swoich naraz.

Kto niesie stół

W tomie pierwszym paczka była odpowiedzią na inne pytanie: gdzie w ogóle poznawać ludzi, skoro nie na ulicy w pojedynkę. Tu chodzi o coś węższego i codziennego. O to, co paczka robi z samą rozmową, kiedy już siedzisz przy stole.

Facet sam przy stole jest jednoosobową obsadą całego wieczoru. On jest tematem, bo mówi się o nim albo z nim. On jest prowadzącym, bo jak nie podtrzyma, to zgaśnie. Każda pauza jest jego pauzą, każdą

ciszę odbiera jak własną awarię, każdy temat musi wyjść z jego głowy. Więc się pilnuje. Sprawdza w locie, czy to, co chce powiedzieć, jest dość ciekawe, czy żart jest dość śmieszny, czy pytanie nie za śmiałe. A pilnowanie się zjada dokładnie to, co chciałby pokazać: luz. Sztywność takiego faceta to nie jest cecha charakteru. To jest etat. On nie jest spięty, bo taki się urodził. Jest spięty, bo niesie w pojedynkę ciężar, który normalnie nosi się w kilku.

Pisał ktoś na forum lata temu: „Brakuje mi zabawnych anegdot dot.” Zdanie urwało się w połowie, jakby mu i na anegdotę o anegdotach zabrakło materiału. Ten facet szukał repertuaru w sobie, jak wszyscy z tamtej szkoły: naucz się historyjek, miej przygotowane tematy, trzymaj w zanadrzu trzy ciekawostki. Tylko że anegdota nie rośnie w pojedynkę. Anegdota to jest wspólna własność paczki. Rośnie z tego, że coś się razem przeżyło, nosi się ją we dwóch, opowiada w trzech, a po roku nikt już nie wie, czyja właściwie jest. Marek przy ognisku nie ma w głowie repertuaru. Ma za sobą rok wspólnych sobót i to tamte soboty mówią przy ogniu za niego.

I drugi głos z tego samego miejsca, pisał ktoś na forum lata temu: „Lecz niestety nigdy nie byłem na tego typu imprezie więc kompletnie nie wiem jak taka sytuacja rozegrać.” Zatrzymaj się przy słowie rozegrać. Facet stoi przed imprezą jak przed partią szachów: on sam, po drugiej stronie sytuacja, trzeba wymyślić ruchy. Tak wygląda impreza z perspektywy człowieka, który przyjdzie na nią sam i sam będzie niósł każdą rozmowę. Przy wspólnym ogniu nie ma nic do rozegrania, bo nie grasz sam i nie grasz przeciwko. Rozmowa nie jest zadaniem do wykonania. Jest ogniem, do którego się dorzuca.

Dlatego ten sam facet wśród swoich nie musi udawać rozluźnionego. To jest zdanie warte przeczytania dwa razy, bo cała stara szkoła uczyła właśnie udawania: graj luz, kontroluj mowę ciała, nie pokazuj, że ci zależy. A luzu nie da się zagrać, najwyżej na czterdzieści sekund, potem ciało wychodzi zza kulis. Luz wśród swoich nie jest produkowany. Jest skutkiem ubocznym tego, że ciężar rozmowy leży na dwunastu parach rąk zamiast na jednej. Nie musisz

grać człowieka, któremu jest dobrze, bo ci po prostu jest dobrze.

I teraz rzecz, dla której ten rozdział jest w tej książce. Kobieta, która siedzi przy jednym i przy drugim stole, widzi dwóch różnych facetów. Nie zgadujemy, co o nich myśli, od zgadywania są wróżki. Mówimy o tym, co widać, bo widać dwa różne zestawy danych. Przy pierwszym stole: facet, który się pilnuje, waży zdania, dźwiga. Przy drugim: facet, któremu ludzie podają historie, który się śmieje bez sprawdzania, czy wypada, którego koledzy wypominają mu stożek z patyków i któremu to nie robi krzywdy. W tomie pierwszym mówiliśmy, że ktoś może za ciebie ręczyć jednym zdaniem. To było o wejściu do rozmowy. Tu jest o czymś więcej: paczka zmienia sam przebieg rozmowy, minuta po minucie, przez cały wieczór. Ta sama twarz, dwa oświetlenia.

Robota przy stole

Dobra. To teraz rzemiosło, bo stół z paczką nie działa sam z siebie. Działa dlatego, że kilka osób robi przy nim drobną, niewidoczną robotę. Cztery ruchy. Każdy do nauczzenia.

Pierwszy: podanie tematu. Słyszałeś je przy ognisku: Marek, opowiedz tę z Sokolik. Cała mechanika mieści się w dwóch częściach: dwa słowa kontekstu i oddanie głosu. Podajesz koledze historię, w której on dobrze wygląda, i nie opowiadasz jej za niego. To drugie jest trudniejsze, niż brzmi, bo jak znasz puentę, ręka sama świerzbi. Kto opowiada cudzą historię do końca, ten nie podał, ten zagrał sam i jeszcze cudzą piłką. Podanie jest po to, żeby tamten miał na czym stanąć. A działa w obie strony: jak dostajesz podanie, grasz i oddajesz. Bierzesz historię, opowiadasz, a potem podajesz następnemu, bo temat przy dobrym stole krąży jak półmisek, nikt go sobie nie stawia przed talerzem na stałe.

Drugi: przedstawienie w dwa zdania. W sobotę rano, pod skałą, Marek przedstawia Kamila krakowskim: to jest Kamil, znamy się z gór od zeszłego lata, gra w zespole. Spytajcie go kiedyś, jak się kończy koncert, na którym w drugim kawalku siada prąd. Tyle. Dwa zdania: kim jest dla ciebie i jedna rzecz, o którą można go zaczepić. Nie

życiorys, nie lista osiągnięć, nie pięć minut biografii, po których wszyscy patrzą w ziemię, a przedstawiany chce zniknąć. Życiorys nikomu nie jest potrzebny, potrzebny jest uchwyt. Dwa zdania to jest uchwyt: pół godziny później ktoś przy kawie mówi do Kamila, no dobra, to co z tym prądem, i rozmowa robi się sama.

Trzeci: wprowadzenie kobiety do rozmowy. Sobota wieczór, drugie ognisko. Iga siedzi z brzegu, trochę poza kręgiem, jak człowiek, który jest z tą ekipą pierwszy raz i jeszcze nie wie, ile mu tu wolno. W środku kręgu trwa akurat spór, czy nietoperz może się wplątać we włosy, bo dwie osoby były po południu przy wejściu do jaskini i jedna twierdzi, że ledwo uszła z życiem. I Agata rzuca przez ogień: Iga, ty się na tym znasz zawodowo, rozstrzygnij, bo się pozabijają. Iga uczy biologii. Pół minuty później pół kręgu słucha wykładu o echolokacji, ktoś dopytuje, ktoś się kłóci dla sportu, a Iga siedzi już nie z brzegu, tylko w rozmowie.

Rozbierz ten ruch, bo on jest precyzyjny. Agata nie zrobiła odpytki. Odpytka to jest to, co robi się nowej osobie najczęściej: a czym się zajmujesz, a skąd jesteś, a jak długo się wspinasz, pytanie za pytaniem, jak w okienku w urzędzie, aż nowa osoba czuje się jak petent z numerkiem. Agata podała Idze temat, na którym Iga stoi pewnie, i podała go do rozmowy, która już trwała. To jest cała definicja wprowadzenia: nie budujesz nowej rozmowy wokół niej, bo to jest przesłuchanie z reflektorem. Nie zostawiasz jej z boku, bo to jest mur. Podajesz jej wątek, w którym ma teren, i robisz miejsce.

I czwarty ruch, drobny: żart wewnętrzny przy nowej osobie. Każda paczka ma swoje hasła, które śmiesz tylko swoich. Kiedy przy stole siedzi ktoś nowy i takie hasło pada, masz dwie drogi. Zła: śmiać się z resztą i zostawić nową osobę przed szybą. Dobra kosztuje jedno zdanie kontekstu: śmiejemy się, bo ten tu rok temu zamówił w schronisku jajecznicę z szynką i dostał herbatę, i od tamtej pory herbata to u nas jajecznicą. Jedno zdanie i osoba spoza jest w środku. Zero zdań i właśnie zbudowałeś mur, cegła po cegle, śmiejąc się przyjaźnie.

Kryjówka i występ

A teraz uczciwie, bo paczka przy stole ma swoje choroby i obie wyglądają z daleka jak zdrowie.

Pierwsza: kryjówka. Wieczór, na którym gadasz wyłącznie ze swoimi. Jest ci dobrze, śmiejesz się, wracasz do domu z poczuciem udanego wyjścia. I możesz tak przechodzić rok, nie zamieniwszy zdania z nikim spoza swojej szóstki. Paweł zna to od środka i mówi o tym w sobotę przy ogniu wprost: pół roku po rozwodzie wychodziłem tylko tam, gdzie byli swoi, i gadałem tylko ze swoimi. Wyglądało jak życie towarzyskie. A było chowaniem się przy świadkach. Komfort paczki jest tak dobry, że znieczula, i to jest jego jedyna wada. Stado ma być bazą, z której wychodzisz do ludzi, a robi się z niego bunkier, w którym przed ludźmi siedzisz. Test jest liczbowy i bezlitosny: po imprezie policz osoby spoza paczki, z którymi zamieniłeś więcej niż dzień dobry. Zero raz na jakiś czas to nic, każdy ma wieczory dla swoich. Zero zawsze to nie jest pech, to jest polityka, znasz tę formułę z rozdziału o strunie.

Druga choroba: występ. Grupa się nakręca, żarty lecą coraz szybciej, każdy podbija każdego, decybele rosną. I w którymś momencie kobieta przy tym stole przestaje być w rozmowie, a zaczyna być na widowni. Nikt jej nic złego nie zrobił. Po prostu nie ma już miejsca, w które dałoby się wejść ze zdaniem, bo wszystkie miejsca zajęły puenty. Widzieliśmy to w sobotę na sąsiedniej łące, sto metrów dalej: ekipa przy drugim ognisku, jeden robił program, reszta się przekrzykiwała, a dwie dziewczyny, które z nimi przyjechały, przez godzinę nie powiedziały słowa, aż wstały po coś do auta i wróciły z krzeselkami ustawionymi odrobinę dalej, twarzami trochę bardziej do siebie niż do ogniska. Odsunęły się o półtora metra i nikt tego nawet nie zauważył, bo występ trwał. Rozmowa robi miejsce, występ je zajmuje, tę granicę znasz z rozdziału o napięciu, u pojedynczego faceta nazywała się nachalność. Paczka też umie być nachalna, całym stadem naraz, i odpycha wtedy dokładnie tak samo, tylko głośniej.

Jest i trzecia rzecz, najcięższa. Pisał ktoś na forum lata temu: „boje się ze to spiepsze albo jakiś głupek mnie wyśmieje”. Facet bał się nie kobiet. Bał się własnego towarzystwa. I to jest test, którego mało kto sobie robi: jak twoja ekipa reaguje na twoje spotkanie. Dobra paczka śmieje się z historii, którą sam potem opowiadasz przy ogniu. Zła robi z twojego spotkania program i ciebie obsadza w roli, z której nie możesz wyjść. Jeśli masz w ekipie kogoś, przy kim pilnujesz się tak samo jak przy obcych, to nie masz przy stole kolegi. Masz obcego w kurtce kolegi i cały mechanizm z tego rozdziału przy nim nie działa, bo ciężar, który paczka miała z ciebie zdjąć, on ci z powrotem dokłada.

Ta sama kobieta

Została sprawa najtrudniejsza i załatwimy ją bez owijania, bo owijanie jest tu połową problemu.

Sobota, 23:10. Kamil i Maciek idą po drewno do sterty przy stodole, bo ogień zjadł zapas. I Kamil, w ciemności, między jednym naręczem a drugim, mówi: Iga mi się podoba. A potem, bo nauczył się mówić do końca: i widziałem dziś, że tobie też.

Maciek układa polana na przedramieniu. No, mówi. Podoba.

Idą kawałek w milczeniu. I co z tym robimy, pyta Kamil.

Nic z tym nie robimy, mówi Maciek. To znaczy jedno już zrobiłeś, powiedziałeś mi wprost, i to jest cała umowa, jaką dwóch facetów ma prawo zawrzeć w tej sprawie. Dalej jest krótko. Nie ma zaklepywania. Nie ma pierwszeństwa, bo ona nie jest miejscem w kolejce, tylko człowiekiem, który o niczym takim nie wie i wiedzieć nie musi. Każdy z nas mówi za siebie i mówi jej, nie tobie o niej i nie mnie o niej. Żaden nie podgryza drugiego przy niej i żaden nie kombinuje za jej plecami. A w niedzielę wieczorem, obojętnie jak będzie, wsiadamy do jednego auta. Paczka jest starsza niż ten weekend i będzie starsza niż ta znajomość, jakkolwiek się ona skończy.

To jest cała odpowiedź i ona jest prosta, więc rozbierzmy tylko, dlaczego prostsze wersje są gorsze.

Zaklepywanie, czyli ja ją pierwszy zobaczyłem. Umowa dwóch facetów o kobiecie, której przy tej umowie nie ma, jest kombinowaniem za jej plecami, obojętnie który z nich na niej wygrywa. Zaklepana dziewczyna to własność z naklejką, a z tego słownika wyszliśmy tom temu i nie wracamy.

Cichy wyścig, czyli obaj udają, że nic, i ścigają się na uprzejmości, dolewki i miejsca przy ogniu. To jest to samo co zaklepywanie, tylko bez odwagi powiedzenia sobie prawdy, i kończy się zawsze tak samo: któryś w końcu powie o drugim przy niej pół zdania za dużo, niby żartem, i paczka ma pęknięcie, którego się nie skleja.

I wersja szlachetna, czyli odpuszczam ci ją, stary. Brzmi jak przyzwoitość. Jest tym samym handlem, tylko po cichu: dwóch facetów rozstrzygnęło między sobą sprawę, która nie jest ich sprawą. Decyzja jest jej. W całości. Łącznie z wersją, w której nie wybiera żadnego, i tę wersję obaj mają w cenie od początku.

Niedziela przed południem wygląda potem tak. Przy zwijaniu obozu Iga pyta Maćka o wrześniowy kurs skałkowy, o ten, który prowadzi na Jurze, i wymieniają numery, przy wszystkich, nad rozłożonym namiotem. Kamil to widzi. I Kamil, który pół roku temu wysłałby w eter siedem wiadomości i tydzień obrażonej ciszy, podchodzi pięć minut później i mówi Idze normalnym głosem, że jak zespół będzie grał we wrześniu w Krakowie, niech przyjdzie z ekipą, wrzuci szczegóły na grupę. I tyle. Bez rachunku, bez chłodu, bez sceny. Co będzie u Maćka z Igą, nie wiadomo, może kurs i nic więcej, nie nasza sprawa i nie o wynik tu szło. Ważne jest co innego: obaj wychodzą z tego weekendu z paczką i z twarzą. A to są dokładnie te dwie rzeczy, które się traci przy każdej wersji z kombinowaniem, i traci się je niezależnie od tego, czy kombinowanie wypali.

Narzędzia

Cztery, do zrobienia w życiu, które już masz.

1. Dwa podania na wieczór. Przy najbliższym wspólnym stole, z paczką, z rodziną, z ludźmi z pracy, podaj dwa tematy komuś innemu

zamiast zagrać je samemu. Opowiedz tę z, i oddajesz głos. Licz na palcach, serio, bo odruch każe historię zatrzymać dla siebie i po wieczorze będziesz szczerze przekonany, że podawałeś, choć podania były zero.

2. Trzy przedstawienia na zapas. Wypisz trzech swoich ludzi i przy każdym dwa zdania: kim jest dla ciebie i jedna rzecz, o którą można go zaczepić. Masz to trzymać gotowe, jak zdania z poprzednich rozdziałów, bo dobre przedstawienie robi się w trzy sekundy i akurat wtedy nie ma czasu go składać. Pierwszego użyj przy najbliższej okazji, kiedy dwóch twoich znajomych z różnych światów stanie obok siebie.

3. Rachunek kryjówek. Po każdym wyjściu z paczką jedna liczba na kartce: ile osób spoza ekipy, z którymi zamieniłeś więcej niż dzień dobry. Zero raz na jakiś czas jest w porządku. Zera z rzędu przez miesiąc to dana, z którą trzeba coś zrobić, i pierwszy ruch znasz z narzędzia pierwszego, tylko w drugą stronę: podaj temat komuś spoza kręgu, z paczką za plecami. Po to ją masz.

4. Zdanie do kolegi. Ułóż zawczasu, słowo w słowo, zdanie na dzień, w którym tobie i koledze spodoba się ta sama kobieta. Krótkie, wprost, w cztery oczy: podoba mi się ta a ta, widzę, że tobie też, mówię, żebyśmy grali czysto. Powiedz je na głos w pustym pokoju, aż przestanie brzmieć jak wypowiedzenie wojny, bo nim nie jest. Jest dokładnie odwrotnością wojny i dlatego mówi się je pierwsze, zanim cokolwiek się zacznie.

Arkusz 48 godzin

Dwa dni, kartka, długopis, jak zawsze.

Dzień pierwszy. Diagnoza. Spisz pięć historii, które twoja paczka opowiada wspólnie, takich, które przy stole może zacząć jeden, a skończyć drugi. Jeśli wychodzi pięć, masz magazyn i masz z czego podawać. Jeśli wychodzą dwie, też dobrze, wiesz, że magazyn się dopiero buduje. Jeśli kartka zostaje pusta, bo nie ma jeszcze paczki, to nie jest zadanie na dziś: wróć do arkusza z rozdziału o stadzie w tomie

pierwszym, tamten jest wcześniejszy, ten tutaj poczeka i nigdzie się nie wybiera. Potem, niezależnie od listy, trzy przedstawienia dwuzdaniowe z narzędzia drugiego, na piśmie, słowo w słowo.

Dzień drugi. Wykonanie. Jedno podanie tematu zrobione na głos, przy ludziach: opowiedz tę z, i oddany głos. Jeśli trafi się okazja, jedno przedstawienie z kartki użyte w świecie. Jeśli okazji nie będzie, wersja zastępcza: wiadomość, która sprowadza dwóch twoich ludzi do jednego stołu, z datą i miejscem, bo stoły, przy których to wszystko się dzieje, ktoś musi najpierw zwołać. Wieczorem zapis: co podałeś, komu, i co się z tym tematem działo przez następne dwie minuty. Do tego rachunek kryjówki, jeśli byłeś gdzieś ze swoimi.

Zaliczone, kiedy na kartce jest lista historii albo uczciwie zapisane zero z powrotem do tomu pierwszego, trzy przedstawienia i jedno podanie z opisaną minutą po nim. Samo pokiwanie głową nad rozdziałem zaliczeniem nie jest, kiwać umiesz od dawna.

Żar

Niedziela, 17:50. Łąka pod Podlesicami wraca do stanu sprzed trzech dni. Namioty zwinięte, karimaty upchnięte po bagażnikach, ktoś trzeci raz liczy ekspresy, bo zawsze jednego brakuje i zawsze się w końcu znajduje w cudzym worku. Marek leje wodę na ognisko, syczy, idzie para, Kamil rozgarnia kijem popiół, żeby nic nie zostało. Po ogniu, który palił się trzy wieczory, zostaje czarny krąg wielkości stołu.

Auta rozjeżdżają się w trzy strony. Krakowskie na południe, Paweł na zachód, Marek na północ, z Ewą śpiącą na przednim siedzeniu i z Kamilem, którego podrzuca na pociąg w Częstochowie. Jest cicho, tak jak bywa cicho w aucie po dobrym weekendzie, kiedy nikt nie ma potrzeby zagadywać ciszy, bo ona nie jest pusta, tylko najedzona.

Gdzieś za Radomskiem Marek na stacji benzynowej patrzy w telefon. Grupa z wyjazdu, czterdzieści nieprzeczytanych: czyjeś zdjęcie znad skał, spór o to, kto jednak zjadł ostatnią kielbasę, numer buta, który został na łące. Rok temu wracał z imprezy nocnym autobusem i nie miał komu napisać, jak było. Teraz problem ma odwrotny i lepszy:

zanim doczyta, dojdzie dziesięć nowych.

Pisze w tę ciszę między jednym powiadomieniem a drugim: wrzesień, Sokoliki, kto wchodzi. Chowa telefon do kieszeni, płaci za kawę, wraca do auta. Zanim wyjadą ze stacji, telefon wibruje pierwszy raz. Zanim miną Piotrków, piąty.

A ogień pod Podlesicami nie należał do nikogo i to jest ostatnia rzecz z tego weekendu, którą warto zabrać do domu. Nikt go nie rozpalil sam, nikt go nie pilnował i nikt przy nim nie musiał być kimś innym, niż jest, bo każdy tylko dorzucał patyk, kiedy przyszła jego kolej. Rozmowa, przy której można spotkać człowieka, wygląda dokładnie tak samo. Nie dźwiga się jej. Dorzuca się do niej. I buduje się ją na długo przed wieczorem, przy którym zapłonie, po jednym patyku, po jednej wysłanej dacie, po jednym wolnym miejscu w aucie.

Epilog. Z pustymi rękami

Wróć na chwilę do wieczoru, od którego ten tom się zaczął. Kawiarnia, półtorej godziny bez jednego błędu, „było miło” na pożegnanie i nic. Umówiliśmy się wtedy, że to zdanie zacznie znaczyć za mało. Sprawdź teraz, czy umowa zadziałała, tylko nie sprawdzaj jej na wielkich rzeczach, bo tam jej nie widać. Nie chodzi o to, czy masz za sobą wieczór jak z filmu. Chodzi o to, że tamten wieczór ze wstępu przestał być zagadką. Dziś umiałbyś powiedzieć, czego w nim brakowało: nie tematów, nie odwagi, nie szczęścia. Brakowało ciebie. Był ktoś, kto obsługiwał rozmowę, sprawdzał pytania przed podaniem i pilnował, żeby nie zgasła. Obecny nie był.

Zmiana z tego tomu mieszka w drobiazgach i po nich ją poznasz. Kiedy drugi człowiek mówi, słuchasz do końca, zamiast układać w głowie następne pytanie. Cisza przy stole przestała być alarmem, umiesz w niej posiedzieć trzy sekundy i nie spłonąć. Mówisz czasem zdanie od siebie tam, gdzie kiedyś zadałbyś pytanie z asekuracji, i to zdanie nie ma furtki. Widzisz rzeczy, których rok temu nie widziałeś: rękę, która została o sekundę dłużej, torbę przełożoną na drugie ramię, wzrok, który wraca. Kiedy przy stole siedzi ktoś nowy, podajesz mu watek zamiast robić odpytkę. Wychodzisz z rozmów mniej zmęczony, bo przestałeś je nosić w pojedynkę. Nikt postronny nie zauważy żadnej z tych rzeczy, bo żadna nie nadaje się na opowieść. Ty zauważysz wszystkie, a któregoś dnia zauważy je też ktoś, kto będzie siedział naprzeciwko ciebie dłużej niż jeden wieczór.

I trzeba to nazwać wprost, bo łatwo się pomylić co do tego, co właściwie dostałeś. Nie dostałeś repertuaru. Gdyby cię obudzić w nocy i kazać wyrecytować trzy zdania, które otwierają rozmowę, nie wyrecytowałbyś, i całe szczęście, bo taki zestaw obiecywałem ci pominąć już we wstępie. Pisał ktoś na forum lata temu: „Nie umiem znaleźć odpowiedniego tematu na "przerwe"." Ten facet trzymał w głowie magazyn opału, bo myślał, że rozmowa to piec, który on ma sam opalać, i że jak zabraknie polan, wszyscy zamarną i będzie to

jego wina. Ty już wiesz, że rozmowa nie jest piecem. Przestałeś ją prowadzić jak przesłuchanie, w którym po każdej odpowiedzi trzeba mieć gotowe następne pytanie, i zacząłeś w niej być. To się nie nazywa umiejętność mówienia. To się nazywa obecność i dlatego nie da się jej wykuć na pamięć: ona nie jest zrobiona z tekstu.

Marka i Ewę zostawiliśmy w aucie za Częstochową i tam ich zostawmy, bez dopisywania dalszego ciągu. Nie powiem ci, że są szczęśliwi, bo są razem od kilku tygodni i nikt na świecie nie wie, co to znaczy po kilku tygodniach. Wiadomo tyle: on powiedział wprost, ona nie zgasiła, każdy krok od parku na Żoliborzu był widoczny dla obojga i żadne nie musiało niczego udawać. To nie jest szczęśliwe zakończenie, bo to nie jest żadne zakończenie. Przed nimi rzeczy, których ten tom nie obejmuje: pierwsze nieporozumienie, pierwszy tydzień, w którym któremuś zabraknie siły, pierwsza rozmowa trudniejsza niż wszystkie dotychczasowe razem wzięte, i cała reszta, której nie zaplanuje żadna książka. Może się uda, może nie. Od pary budowanej na ukrytych ruchach różni ich jedno i to jedno wystarczy: cokolwiek się między nimi wydarzy, wydarzy się przy świetle.

Jest też rzecz, której ten tom nie załatwił, i wolę ją nazwać sam, zanim potknie cię w praktyce. Umiesz już rozmawiać tak, że coś się dzieje, kiedy siedzicie naprzeciwko siebie. Ale spotkanie to jest godzina, może dwie w tygodniu, a między spotkaniami leży sto kilkadziesiąt godzin, w których nie ma was w jednym pomieszczeniu, i ten czas rządzi się własnymi prawami. Wiadomość, która brzmiała dobrze w głowie, a wisi bez odpowiedzi. Cisza, o której nie wiesz, czy coś znaczy. Plan na piątek, który we wtorek był pewny, a w czwartek się rozmywa, i nawet nie umiesz wskazać, kto go rozmył. Pisał ktoś na forum lata temu: „Nie wiem jak doprowadzić do drugiego spotkania, w którym chciałem pokazać się od tej lepszej strony, bo wiem już co robiłem źle.” Ten facet miał za sobą dokładnie tę robotę, którą ty masz za sobą teraz, i wykladał się na odcinku pomiędzy. O tym odcinku jest tom trzeci: co robić z czasem, w którym rozmowy nie ma, żeby nie gasił tego, co rozmowa zbudowała. Tyle zapowiedzi, więcej nie trzeba.

Zostaje jedna rzecz do zrobienia w tym tygodniu. Odbędziesz w nim tak czy inaczej kilkanaście rozmów: ktoś w pracy, matka przez telefon, kolega na siłowni, sąsiad przy śmietniku. Wybierz jedną z nich z góry, taką przy zerowej stawce, i wejdź w nią z pustymi rękami. Bez tematu w zanadrzu, bez pytania na zapas, bez planu, o czym będzie. Twoja cała robota w tej rozmowie to dwie rzeczy: odpowiadać na to, co naprawdę padło, a nie na to, co miałeś w kolejce, i zauważyć o tym człowieku jedną rzecz, której nie powiedział słowami. Wieczorem zapisz dwie linijki, co usłyszałeś i co zauważyłeś, dołóż kartkę do arkuszy. Jeśli po wszystkim uznasz, że rozmowa była zwyczajna i nic wielkiego się nie stało, to jest dokładnie wynik, o który chodziło. Rok temu rozmowa bez przygotowania była dla ciebie skokiem bez liny. Teraz jest środą.

I to jest koniec drugiego tomu. Bez podniosłości, bo nie ma nad czym wzdychać: nauczyłeś się rzeczy, którą ludzie robią od zawsze i bez nazywania, a cała trudność polegała na tym, żeby przestać robić ją pod prąd. Kartki z tych dziewięciu arkuszy odłóż tam, gdzie leżą tamte z pierwszego tomu, niech się trzymają razem, znajdziesz je kiedyś przy przeprowadzce i będziesz się dziwił, że to kiedykolwiek było trudne. Najbliższa dobra rozmowa nie będzie pamiętała, że się jej uczyłeś.

Bibliografia

We wstępie do tego tomu nie ma zdania o liczbie odwołań do nauki, bo nie było czego zapowiadać. Przejrzałem wstęp, dziewięć rozdziałów i epilog tego tomu, zdanie po zdaniu, szukając każdego miejsca, gdzie tekst powołuje się na badanie, na badacza, na naukowca albo pisze "badania pokazują". Takiego miejsca nie ma ani jednego. Ten tom nie cytuje nauki wcale. Stoi na scenach z życia Marka, Ewy, Kamila i reszty, na materiale źródłowym z nagrań, z których ta część serii powstała, i na głosach z forum, a każdy taki głos jest w tekście oznaczony wprost, zdaniem "Pisał ktoś na forum lata temu". Nie znajdziesz tu więc listy pozycji przywołanych, bo taka lista byłaby pusta, a pusta lista różni się od jej braku: mówi, że sprawdziłem, i że sprawdzanie nie było na niby.

Jest za to coś, co trzeba wyjaśnić, bo inaczej ta bibliografia wyglądałaby na urwaną obietnicę. Bibliografia tomu pierwszego kończyła się zdaniem: kilka nazwisk, które w tamtym tomie odrzuciłem, miało wrócić w tym, tomie o napięciu, ale wrócić z opisanym statusem, nie jako dowód. Sprawdziłem to zdanie względem gotowego tekstu. Obietnica nie została spełniona w żadną stronę, bo żadne z tych nazwisk w ogóle nie wróciło, ani jako dowód, ani z zastrzeżeniem. Nie traktuję tego jako niedotrzymanego słowa. Traktuję to jako lepszy wynik, niż gdybym na siłę wciskał cudzą tezę tam, gdzie scena z życia obroniła się sama, bez pożyczonego autorytetu. Sekcja niżej mówi, które nazwiska były brane pod uwagę przy pisaniu tego tomu, skąd wiadomo, że były brane pod uwagę, i dlaczego żadne z nich nie weszło ostatecznie do tekstu.

Pozycje przywołane w tomie

Brak. Zero powołań na badanie, badacza czy naukowca w całym tomie, sprawdzone rozdział po rozdziale.

Czego tu nie ma i dlaczego

Robert Sapolsky, i wynik, który się pod niego czasem podpina (Fiorillo, Christopher D.; Tobler, Philippe N.; Schultz, Wolfram, Discrete Coding of Reward Probability and Uncertainty by Dopamine Neurons, Science, tom 299, nr 5614, 2003). Plan tej serii przewidywał dla tego tomu obraz dopaminy pobudzonej niepewnością pół na pół, podpisany nazwiskiem Sapolsky'ego. To pomyłka, którą dokument bibliograficzny serii każe naprawić: sam wynik pochodzi od Fiorillo, Toblera i Schultza, badanie zrobiono na małpach, przy nagrodzie w postaci soku, a Sapolsky jest tu wyłącznie popularyzatorem, nie autorem odkrycia. Ten sam wynik, z tymi samymi zastrzeżeniami co do interpretacji, stoi już w bibliografii tomu pierwszego, przy rozdziale o niepewności. Dokument bibliograficzny serii każe zdecydować, gdzie ten wynik ma stać, i cytować go raz, nie dwa razy pod dwoma nazwiskami. Zdecydowałem, że stoi w tomie pierwszym. Dlatego w tym tomie go nie ma, nie dlatego, że o nim zapomniałem.

Erving Goffman, "kontrola ramy" (Człowiek w teatrze życia codziennego, wydanie poszerzone 1959; Analiza ramowa, 1974). Plan tej serii liczył na Goffmana przy technikach napięcia właśnie w tym tomie, bo Goffman pierwszy opisał, że każda rozmowa twarzą w twarz ma ramę, którą strony razem negocjują. Problem w tym, że Goffman to zjawisko opisywał, nie instruował, jak nim sterować. Nie ma u niego żadnej techniki "kontroli ramy": jest uznana, ale opisowa socjologia interpretatywna. Rozdział szósty tego tomu mówi de facto to samo, czego nauczał Goffman, bez jego nazwiska: że napięcie bierze się z jawnego zdania powiedzianego wprost, nie z rozgrywania cudzej percepcji w ukryciu. Woląłem zostawić ten mechanizm bez pożyczonego nazwiska, żeby nikt nie przeczytał go jako naukowej metody sterowania ramą, którą Goffman nigdy nie był i nigdy nie chciał być.

Ogi Ogas i Sai Gaddam, "ściemniacz kobiecego libido" (A Billion Wicked Thoughts: What the World's Largest Experiment Reveals about Human Desire, 2011). Plan tej serii

przewidywał to nazwisko przy temacie kobiecego pożądania, dokładnie w tym tomie. Książka rzeczywiście istnieje i rzeczywiście zebrała ogromny zbiór danych z internetu, ale to nie jest praca naukowa: dane są nieprzedstawiające całej populacji, wyłącznie anglojęzyczne, bez ustalenia płci i wieku użytkownika, i mierzą ruch sieciowy oraz fantazję, nie zachowanie ani deklarowane preferencje. Rozdział o testach i rozdział o czytaniu sygnałów w tym tomie nie stawiają żadnej tezy o tym, czego chcą kobiety w ogóle. Każą patrzeć na tę jedną konkretną kobietę, przy tym konkretnym stole, i nie zgadywać reszty. To jest bezpieczniejsza droga niż cudza hipoteza wyprowadzona z zapytań w wyszukiwarce, więc tego nazwiska tu nie ma.

B. F. Skinner (Science and Human Behavior, 1953) i B. J. Fogg (Persuasive Technology: Using Computers to Change What We Think and Do, 2003). Tych dwóch nie ma z powodu, który dotyczy całej serii, ale w tym tomie zahacza wprost o dwa rozdziały. Rozdział siódmy nazwanym po imieniu odrzuca "sprawdzanie ukradkiem, testowanie bez zdradzania, że się testuje", jako wadę moralną, nie techniczną. Rozdział ósmy odrzuca stopniowanie dotyku prowadzone tak, żeby druga strona nie zauważyła, że coś rośnie. To jest dosłownie ten sam mechanizm, który uzasadnia harmonogram wzmocnień Skinnera i wyzwalcze projektowane pod moment najniższego oporu u Fogga: jedna strona projektuje, druga jest projektowana, a metoda działa tylko, dopóki obiekt jej nie rozpozna. Cała ta seria stoi na tezie, że mężczyzna ma przestać zabiegać o cudzą aprobatę, a technika wymagająca cudzej nieświadomości jest tą samą zależnością, tylko odwróconą. Dlatego nazwiska Skinnera i Fogga w tekście nie padają ani razu, ale krytyka, którą prowadzą rozdziały siódmy i ósmy, jest dokładnie tą krytyką, jaką dokument bibliograficzny serii formułuje pod ich nazwiskami. Zbieżność nie jest przypadkiem, jest zamierzona.

Esther Perel (Mating in Captivity: Reconciling the Erotic and the Domestic, 2006). Tom o napięciu jest dokładnie tym

miejszem, w którym czytelnik poradników o związkach spodziewa się tezy, że bliskość gasi pożądanie, więc trzeba trzymać dystans. Rozdział szósty tego tomu idzie w przeciwną stronę: każe mówić wprost, nie aluzją, i traktuje wycofanie się drugiej strony jako odpowiedź do uszanowania, nigdy jako narzędzie do wywoływania napięcia. Perel nie jest tu cytowana, bo jej teza kliniczna nie ma własnych testów ilościowych, a dostępne dane z metody doraźnego próbkowania doświadczeń, na próbie stu trzydziestu czterech osób, idą w przeciwnym kierunku: wyższy poziom bliskości wiąże się z wyższym, nie niższym, pożądaniem. Nazwisko, które w tym tomie najłatwiej byłoby wstawić dla ozdoby, zostało pominięte celowo.

Jedna uwaga na koniec

Skoro w tym tomie nie ma ani jednego przypisania tezy konkretnemu badaczowi, nie ma też w nim miejsca, które łamałoby ostrzeżenie z bazy bibliograficznej serii: nie da się źle zacytować kogoś, kogo się w ogóle nie cytuje. To nie jest powód do dumy większy niż samo zdanie poprzednie. To jest po prostu stan faktyczny tego tomu, taki, jaki jest, opisany bez podkoloryzowania w żadną stronę.